Nr. 49. Warszawa, dnia 9 Grudnia (27 Listopada) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Przyjaciołom ***Prawdy***, *którzy jej przyjaciołmi nadal pozostać pragną, przypominamy nadchodzący termin noworocznej przedpłaty. Wczesne nadesłanie jej jest dla nas bardzo pożądanem ze względu na możność określenia nakładu. Ponieważ dzieło Huxleya zostało w oryginale ukończone, więc w dodatku bieżącym wyjdzie dalszy ciąg* ***Zasad fizyologii***, *której poprzednie (22) arkusze abonentom naszym, nieposiadającym ich, odstępujemy za rs. 1, a z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 15. W roku przyszłym wychodzić będzie dalej* ***Historya filozofii nowożytnej***. *Nowi prenumeratorzy, zgłaszający się bezpośrednio do naszej Administracyi, mogą na żądanie otrzymać wydrukowane dotąd arkusze tego dzieła za kop. 50, z przesyłką kop. 60.*

POLITYKA.

POWRÓT JEZUITÓW.

Nieboszczyk Windthorst pozostawił ubogi arsenał swoim następcom, którzy odziedziczyli po nim buławę hetmańską nad stronnictwem ultramontańskiem. Kiedy „mała ekscelencya“ stał na czele tego zastępu i walczył z Bismarkiem, centrum posiadało bogaty zapas broni, ukutej w ogniu ustaw majowych. Wtedy za każde ustępstwo można było wymagać od rządu zapłaty w unieważnieniu tych praw, wymierzonych przeciw katolikom. Pomału jednakże wyczerpał się ów zasób podczas podróży Bismarka „do Kanossy,“ a w chwili zgaśnięcia „perły z Meppen“ pozostał właściwie już tylko w arsenale zakaz przeciw jezuitom. Windhorst umiałby z pewnością i tę starą, bezużyteczną broń sprzedać rządowi bardzo drogo; umiałby potem wynaleźć nowe i podtrzymywać niemi ten handel zamienny, który prowadził z rządem przy wszystkich głosowaniach w parlamencie pod godłem: „dam, jeżeli dasz.“ Ale następcy jego nie posiadali ani pomysłowości, ani przebiegłości małego człowieczka, zapamiętali jedynie, że zakaz wygnańczy przeciw jezuitom nie został odwołany i chwycili się oburącz tej spuścizny. Obecny układ sejmu niemieckiego nadaje im znaczenie rozstrzygające; należało się więc spodziewać, że jeśli rząd wystąpi z jakąś ważniejszą sprawą, centrum natychmiast naznaczy za swe głosy cenę w żądaniu zdjęcia klątwy z jezuitów. Sprawa taka znalazła się: pierwszy jej akt dotyczy pomnożenia armii, drugi — powiększenia na ten cel podatków. Przy pierwszym ultramontanie nie przedstawili jeszcze swego weksla, gdyż wiedzieli dobrze, że wojsko bez pieniędzy pozostaje na papierze i nie przechodzi do rzeczywistości. Teraz rozpoczął się akt drugi — i centrum wystąpiło ze swoimi jezuitami. Jakże czasy się zmieniły! Ich wniosek, który jeszcze przed 10 laty byłby powitany chórem szyderczego śmiechu, przeszedł większością kilkudziesięciu głosów. Innemi słowy: sejm niemiecki oznajmił, że życzy sobie powrotu jezuitów. I kto do nich tęskni? Oprócz ultramontanów konserwatyści, niektórzy postępowcy i demokraci. Zachowanie się tych ostatnich wymaga objaśnienia. Przedstawiciele demokracyi i liberalizmu radykalnego nie pałają miłością ku osławionym „patrom“ i prawdopodobnie niewiele gatunków ludzkich budzi w nich większą odrazę. Ale oni oświadczają się przeciw wszelkiemu ograniczeniu swobody osobistej z zasady. Nawet takich ciemiężycieli ducha człowieczego, jakimi są synowie Lojoli, nie chcą pozbawiać praw wolnego przebywania i działania w kraju. Tu więc wyrokuje nie sympatya, nie interes, lecz doktryna. Odtrącając ten wzgląd, możnaby z postawy innych stronnictw sądzić, że w przekonaniach narodu i jego przedstawicieli dokonał się głęboki przewrót na korzyść tych prądów i żywiołów, które wcielają się w jezuityzmie lub pozostają z nim w jakimkolwiek spółczeństwie. Byłoby to mniemanie błędne. Jezuici zostali powszechnie znienawidzeni nie jako sekta religijna, ale jako organizacya społeczna dla życia i rozwoju narodów wysoce szkodliwa. Nie ich dogmaty i zasady wiary wywoływały wstręt, ale ich etyka i wpływy świeckie. W tej powszechnej ku nim odrazie zgodziły się wszystkie wyznania chrześciańskie. Bo jakkolwiek katolicyzm nie wyparł się ich urzędownie, nie kryje swej niechęci ku tym pierwiastkom, które tkwią w pojęciu: jezuita. Wyrażają one bowiem: nietolerancyę, zimny fanatyzm, obłudę, przebiegłość, tyranię duchową. Trudno przypuścić, ażeby jakiekolwiek stronnictwo polityczne XIX w. pałało miłością dla takich ozdób natury ludzkiej. Nawet w łonie samego centrum są niezawodnie i to dość liczne jednostki, które nie chcą mieć nic wspólnego z jezuityzmem. Dlaczegóż więc aż kilka partyj wydźwignęło go na swych barkach? Zawsze omyli się ten, kto klucza do rozwiązania zagadek politycznych szuka w szczerych przekonaniach i uczuciach ludzkich. Jest to dziedzina, w której panują wyłącznie interesy i wolne od wszelkich sentymentów rachuby. Centrum wyprowadza na scenę jezuitów, ażeby zmuszając rząd do ustępstwa, wykazać swoją siłę i solidarność; konserwatyści nie sprzeciwiają się dlatego, ażeby zyskać sobie w ultramontanach sprzymierzeńców; postępowcy — dla tego, ażeby zaakcentować swój liberalizm itd. A rząd?

On milczy — i ma po temu dobre racye. Naprzód gdyby nawet był zmuszony wpuścić jezuitów, czuje, że sobie z nimi poradzi. Powtóre — i to jest najważniejsza — uchwała sejmu nie zobowiązuje go do niczego. W tej chwili wzięto pod obrady projekty podatkowe. Centrum, które ma już jezuitów, przez wdzięczność da swe głosy rządowi i pomoże do przyjęcia owych projektów. Za kilka tygodni do Rady związkowej powędrują dwie uchwały sejmu: jedna dotycząca jezuitów a druga podatków. Pierwsza może tam zginąć, a druga z pewnością przejdzie. Wtedy hr. Caprivi umyje ręce i powie: nie gniewajcie się przyjaciele, chciałem sprowadzić jezuitów, ale Rada związkowa mi nie pozwoliła. Formalnie będzie w zupełnym porządku, a ultramontanom nie pozostanie nic innego, jak zachować sobie jezuitów do innego targu.

Tak się przedstawia uchwała sejmu, która według telegramów sprawiła „kolosalne wrażenie.“ Z tej kolosalności augurowie uśmieli się serdecznie.

Z AUSTRYI.

Inwentarz spadku po hr. Taaffem. — Reforma wyborcza i właściwy punkt jej oparcia. — Przyszła jej postać. — Dwa projekty i trzy oświadczenia. — Rozkład stronnictw. — Secesya słowieńców. — Koalicya słowiańska. — Nadzieja niemców. — Początek czy koniec?

Gabinet ks. Windischgraetza objął więc uroczyście spadek po hr. Taaffem i przedstawił inwentarz tego dziedzictwa parlamentowi. Ku ogólnemu zdziwieniu okazało się, że piewsze miejsce w tym inwentarzu zajmuje — reforma wyborcza. Program, wygłoszony przez prezesa gabinetu na pierwszem posiedzeniu Izby, zawiera oświadczenie, „że rząd uważa za pierwsze i najważniejsze swoje zadanie polityczne w porozumieniu z trzema wielkiemi stronnictwami przeprowadzić reformę, któraby utrzymując dotychczasowy konstytucyjny system reprezentacyi interesów i uwzględniając dokładnie stosunki pojedynczych królestw i państw, obejmowała istotne rozszerzenie prawa wyboru na warstwy ludu dotychczas go pozbawione, w szczególności na robotników, a przytem zabezpieczała dotychczasowy wpływ mieszczaństwa i włościan na rozwój polityki wewnętrznej.“

Zwykłemu śmiertelnikowi, żyjącemu poza granicami monarchii habsburskiej, mogłoby wydawać się rzeczą zupełnie naturalną, że reforma społeczna takiej doniosłości stanie na pierwszem miejscu wśród spraw bieżących polityki wewnętrznej, skoro już raz przez przez rząd podjętą została. Dla osób, śledzących tu przebieg wypadków w ostatnich tygodniach, mieści się natomiast w oświadczeniu rządowem pewna zagadka. Więc po to przez miesiąc cały zasypywano autorów projektu wyborczego gradem wyrzutów i protestów, po to obalano tyloletniego kierownika rządów wraz z całym jego gabinetem, aby wydarty mu z rąk projekt przedstawić Radzie państwa natychmiast z małemi tylko zmianami, a z równym naciskiem i pośpiechem? Byłoby to zrozumiałem może ze strony niemców, którzy nie taili się wcale z tem, że w przesileniu sztucznie wywołanem widzą tylko środek dla pozbycia się dawnego wroga. Ale co może skłaniać przedstawicieli klubu Hohenwartowskiego i Koła polskiego, zasiadających obecnie na ławie ministrów, do tak stanowczego ujęcia się za sprawą, której usunięcie i przewleczenie niedawno jeszcze było widoczną ich dążnością?

Na pytanie powyższe nie ma innej odpowiedzi, prócz tej, którą daliśmy w jednym z listów poprzednich. Z programu nowego gabinetu okazuje się słuszność pogłoski, przypisującej inicyatywę w sprawie reformy wyborczej nie hr. Taaffemu, ani też Steinbachowi, lecz samemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Widzimy obecnie — a stanowi to dość miłą niespodziankę — że los projektu rządowego nie jest tak ściśle związany z osobą tego lub owego prezesa ministrów, jak w pierwszej chwili mniemano. Jakie zaś mogły być pobudki, które w najwyższych kołach wywołały tak stanowczy zamiar przyznania praw obywatelskich szerokim warstwom ludności, dotychczas od udziału w nich wykluczonym, zaznaczyliśmy również. Trudno zaprzeczyć, że zamiar taki odbija dość dziwnie od tradycyi rodowej panującej w tych kołach a nacechowanej od wieków skrajnym konserwatyzmem. Tłomaczą to jednak poniekąd względy na politykę zewnętrzną i położenie chwilowe monarchii oraz chęć wywołania zapału dynastycznego w szerokich masach na wypadek niebezpieczeństwa.

Wobec tej dążności, uwidoczniającej się coraz bardziej w przebiegu wypadków ostatnich, wszystkie zajścia hałaśliwe, zajmujące uwagę ogólną od dwóch miesięcy, wszelkie zmiany osobiste w składzie rządu stają się sprawami podrzędnemi. Przesilenie gabinetowe, upadek hr. Taaffego i jego kolegów, wreszcie wytworzenie najnowszego dziwoląga, zwanego „rządem koalicyjnym,“ są to tylko „intermezza“ w sztuce, odgrywającej się przed nami. Nikt chyba nie wróży gabinetowi ks. Windischgraetza długich rządów. Intermezzo obecne może jednak potrwać krócej, niżby na pierwszy rzut oka sądzić można. Rząd w swym programie przyrzeka, że „bronić będzie istotnych praw politycznych mieszczaństwa i włościan.“ Nie wyjaśnia on wprawdzie, w jaki sposób czynić to zamierza, lecz można domyślić się zamiarów jego z pewnych zwrotów, w których mówi o „utrzymaniu dotychczasowego systemu konstytucyjnego“ i o „potrzebie rewizyi podziału na okręgi wyborcze i pomnożeniu liczby posłów.“ Jeśli tym mglistym aluzyom nadamy kształty bardziej namacalne, otrzymamy dwa nowe projekty, z których jeden niezawodnie będzie treścią przedstawienia rządowego w sprawie reformy wyborczej. Wedle pierwszego z nich miałaby do obecnych kuryj wyborczych przyłączyć się nowa, do której należeliby wszyscy wyborcy objęci pierwotnym projektem hr. Taaffego. Dla tej nowej grupy, obejmującej prawie półczwarta miliona obywateli, utworzonoby nowe mandaty poselskie, których liczba przypuszczalnie wynosiłaby około 80. Wedle drugiego projektu, który dotychczas stał w pierwszym rzędzie, obecnie jednak z każdym dniem bardziej traci grunt, liczba kuryj wyborczych byłaby pomnożoną aż o dwie nowe, z których jedna obejmowałaby tylko robotników, druga zaś resztę ludności umiejącej czytać i pisać a pozbawionej obecnie praw obywatelskich. Każda z tych kuryj otrzymałaby po 40 nowych mandatów.

Oba te projekty wymagają utworzenia nowych kuryj i nowych mandatów. Czynią one więc rząd bardziej zależnym od parlamentu, niż pierwotnie chciał hr. Taaffe. Podczas gdy bowiem jego projekt mógł być przyjętym przez zwykłą większość

---

5)

MINĘŁO...

STUDYUM.

Trwoga i niepokój opanowały umysł Wandy. Poruszając się na krześle niecierpliwie, usiłowała przypomnieć sobie jeden choćby wyraz z rozmowy, jaką przed godziną jeszcze ułożoną miała w myślach dokładnie. Nic, nic nie pamiętała. W głowie jej powstał chaos; oddychała gorączkowo; usta jej i ręce drgały, jak w febrze.

— Pan cierpi, pan cierpi już oddawna: widzę to i przyczyny wytłomaczyć sobie nie umiem; chciałam zbadać ją raz ostatecznie: jako przyjaciołka szczera, serdeczna, powinnam wiedzieć prawdę — rzekła nagle, spojrzawszy na Maryana.

Ręka jej mimowoli wyciągnęła się ku niemu. Głos w miarę mówienia nabrzmiewał wibracyą, która dziwiła ją samą.

Nagle ktoś obcy, istota niewidzialna, krążąca między nim a nią uparcie, podszepnęła jej słowa, które ona powtórzyła z łudzącą prawdą szczerości.

— Ta niechęć do życia, jaką pan czuje w piersiach swoich, ta pogarda ludzi, to dziwnie kapryśne, niewytłomaczone postępowanie jego muszą mieć podstawę głębszą, aniżeli proste, przebrzmiałe już zresztą byronowskie zwątpienie. Umysł pana wyższy nad wszelkie naśladownictwo; usta jego nie kłamią nigdy. Dno twego serca nurtuje jakaś tajemnicza walka wewnętrzna, która je w pancerz surowości, zobojętnienia i lekceważącej pogardy zbroi. Ja muszę poznać ją i nie pozwolę panu odejść stąd dopóty, dopóki nie powiesz mi wszystkiego. Ja... ja... kocham pana!..

To było kłamstwo bezczelne, a jednak— ani jedna fibra uczuć nie drgnęła w niej oburzeniem przeciw samej sobie: doznała wrażenia deterministy, który uważa, iż przeznaczenie jego spełniło się. Nagła cisza zapanowała w jej umyśle. Nie drżała teraz, nie lękała się niczego. Usta jej rozchylił łagodny uśmiech. Patrząc w oczy Maryana, spokojnie, bez troski czekała na odpowiedź.

— Poeci sprzeczają się o kolor włosów Julii, kochanki Romea — rzekł Maryan wolno, wstając z krzesła i cofając się w głąb pokoju. Ja twierdzę stanowczo, iż musiała być brunetką, w blondynce bowiem trudno zakochać się do szaleństwa: to mdłe i banalne, jak wegetaryanizm niemiecki...

Różowy płomień lampy ślizgał się w tej chwili po rozrzuconych nad czołem włosach Wandy, jak po niteczkach roztopionego złota.

Wstała. Oparłszy się o słup marmurowy, z którego wielki bukiet Makarta rzucał zygzaki cieni na bok ściany i na arabeski dywanu, patrząc na brzęczącą muchę, którą w tej chwili dopiero dostrzegła w powietrzu, rzekła suchym, sztywnym, zmienionym zupełnie głosem:

— Postępowania pana nie rozumiałam nigdy: dziś — pojmuję je mniej, aniżeli kiedykolwiek. Trudno dziwactwem i kaprysami tłomaczyć to, co w słowniku zwykłych pojęć brzmi raczej jako wybryk zuchwałego aroganta lub upodobanie w obrażaniu ludzi. Z zajęcia się, jakie okazywał mi pan w ciągu paru lat naszej znajomości, z ciągłego poszukiwania mego towarzystwa, mogłam wnosić, iż obchodzę go żywiej, aniżeli każda inna kobieta. Pomyliłam się... Mogę wydawać się panu śmieszną w tej chwili... Aby uniknąć podobnie śmiesznych pomyłek na przyszłość, żądam stanowczo niewidywania pana nadal. Udział w towarzyskich zabawach i przyjęciach jest dla pana ciężarem. Sądzę, iż zerwanie ze światem, a przynajmniej ze wspólnymi naszymi stosunkami nie sprawi panu trudności; mam nadzieję, iż obecnie przestanę spotykać go *codzień* i *na każdym*

Izby, nowe są zmianami zasadniczych ustaw monarchii, a dla przyjęcia ich potrzebna jest większość dwóch trzecich głosów w parlamencie.

Czy ks. Windischgraetz potrafi znaleźć tę większość? Staje się to z każdym dniem bardziej wątpliwem. Podstawę do powątpiewań pod tym względem dałyby nam już oświadczenia, któremi pojedyncze stronnictwa odpowiedziały na program rządowy. Najbardziej przychylnie dla nowego gabinetu brzmi oświadczenie lewicy niemieckiej. Przyjmuje ona go „z zadowoleniem“ i wyraża „gotowość popierania nowego ministerstwa w jego działalności.“ Pewną dwuznaczność dostrzegamy już w osnowie oświadczenia Koła polskiego, które przyrzeka rządowi poparcie „w przypuszczeniu, że on ściśle przestrzegać będzie zasad autonomii i że interesy kraju spotkają się z życzliwością jego.“ Na stanowisku odpornem widzimy klub hr. Hohenwarta, który oznajmiając, że „obstaje bezwarunkowo przy wszystkich swoich religijnych politycznych, narodowych i ekonomicznych sasadach i tylko w tym duchu jest gotów popierać rząd,“ nadmieniając, że „obstaje bezwarunkowo przy równouprawnieniu narodowości i jest zdecydowanym uczynić wszystko, co potrzeba, aby zasadom swym zapewnić zwycięztwo.“

Ten ostatni zwrot jest pierwszym szczękiem broni wśród ciszy panującej chwilowo na polu walki. Zapowiada on dość wyraźnie, że hasło do zerwania koalicyi wyjdzie z tej samej strony, z której wyszła inicyatywa do jej zawiązania. Lecz o wiele bardziej znamiennym dla obecnego położenia, niż treść owych trzech oświadczeń, jest przebieg rozpraw dość burzliwych, które poprzedziły ułożenie ich w łonie pojedynczych stronnictw. Okazało się przy tej sposobności, co zresztą nietrudnem było do przewidzenia, że utworzenie gabinetu koalicyjnego i zaspokojenie ambicyi przewódców okupią stronnictwa rychłym rozkładem.

U niemców rozkład ten dotychczas nie jest tak widocznym, jak u innych stronnictw, gdyż zadowolenie z osiągniętych istotnie powodzeń materyalnych łączy jeszcze na razie członków lewicy wspólnym nastrojem a dyskrecya prasy wiedeńskiej ukrywa dotychczas przed szerszą publicznością oznaki burzy, która wybuchnie niebawem wśród zwolenników Plenera. Jest ona nieuniknioną, gdyż wszystkie dotychczasowe kroki stronnictwa: wybór konserwatysty skrajnego hr. Wurmbranda na przedstawiciela klubu liberalnego w gabinecie, następnie wybór komisyi mającej objąć kierownictwo klubu a składającej się z byłego ministra hr. Kuenburga, byłego namiestnika tyrolskiego bar. Widmana, d-ra Heilsbergera, d-ra Russa i bar. Dumreichera, czyli z samych członków konserwatywnego skrzydła — wszystko to dowodzi, że większość stronnictwa, złożona z właścicieli wielkiej posiadłości i posłów niemieckich z Czech, wyzyskuje bezwzględnie swą przewagę liczebną wobec mniejszości. Ponieważ zaś w składzie tej ostatniej znajdują się właśnie osobistości najwybitniejsze a zarazem żywioły najbardziej burzliwe, jak Menger, Kopp, Suess itd. przeto oderwanie się ich od całości stronnictwa może być tylko kwestyą czasu.

W Kole polskiem przebieg obrad nad oświadczeniem był również nader burzliwy. Panuje tam chwilowo anarchia, która w dalszych swych następstwach może stać się zgubną dla stronnictwa. Bezpośrednim jej wynikiem jest to, że miejsce przewodniczącego pozostaje na razie opróżnionem, co znów naturalną koleją rzeczy przyczynia się coraz bardziej do rozluźnienia węzłów solidarności, której przecie Koło polskie zawdzięczało jedynie swe stanowisko w parlamencie austryackim.

Najwyraźniej ujawnił się dotychczas rozkład w klubie Hohenwartowców. Przeciwieństwo między pojedynczymi jego składnikami zaostrzyło się w ciągu dyskusyi nad oświadczeniem do tego stopnia, że hr. Hohenwart musiał zagrozić złożeniem mandatu na wypadek, jeśli klub zajmie wobec programu rządowego nieprzychylne stanowisko. Pod naciskiem tej groźby uchwalono wprawdzie oświadczenie, którego zwroty charakterystyczne przytoczyłem a które bynajmniej nie odznacza się względnością wobec rządu i innych stronnictw, ale równocześnie nastąpił fakt nader ważny dla sytuacyi obecnej: mianowicie wystąpienie 6 słoweńców i 4 dalmatyńców ze słowiańskiej oraz jednego członka z zachowawczej grupy klubu.

Klub młodoczeski przyjął wystąpienie owych 11 członków z radością i upoważnił swoją komisyę parlamentarną, aby przedstawiła wnioski, w jaki sposób ma być rozpoczęta wspólna walka z rządem. Mamy tu do czynienia z projektem na pozór dość dziwacznym, którego urzeczywistnienie jednak wcale nie jest niemożliwem, mianowicie z zamiarem utworzenia opozycyjnej koalicyi słowiańskiej, w której skład wchodziliby: młodoczesi, staroczesi morawscy, russcy, najnowsza grupa secesyonistów z klubu Hohenwartowskiego, wreszcie istniejący już od zeszłego roku klub radykałów kroackich pod przewodem X. Bianchiniego. Gdyby jednak nawet chęć utworzenia tej koalicyi rozbiła się o zawiść istniejącą między młodoczechami a morawskimi staroczechami i o opór ruskich, między którymi tylko dwaj, Romańczuk i Teliszewski, są na razie otwartymi zwolennikami projektu odłączenia się od Koła polskiego i wystąpienia przeciw rządowi, to przecież nie ulega wątpieniu, że przy poważniejszej sposobności rząd znajdzie wszystkie te siły zjednoczone w szeregach przeciwników. Staną tam obok nich antisemici a prawdopodobnie też dalsza część grupy zachowawczej klubu Hohenwartowskiego, wśród której dziś już objawia się również skłonność ku secesyi. W takim to razie hr. Windischgraetz nie posiadałby już w parlamencie większości dwóch trzecich, potrzebnej dla przeprowadzenia reformy wyborczej, a ponieważ posiada temperament zupełnie odmienny od swego poprzednika i nie zniósłby takiej porażki z flegmą właściwą tylko hr. Taaffemu, ani też nie spróbowałby zapewne przechylić szali zwycięztwa podstępem lub intrygą na swą stronę, przeto bezpośrednim skutkiem takiego zwrotu byłoby — ustąpienie gabinetu. Wszystkie stronnictwa liczą się dziś już z tą możliwością, najbardziej zaś lewica niemiecka, która spodziewa się, że wobec uszczuplenia sił klubu Hohenwartowskiego i zluźnienia karności w obozie polskim, udałoby się jej może w przyszłym gabinecie uzyskać stanowisko bardziej górujące, niż to, które zajmuje obecnie.

Stoimy przed samym początkiem rządów ks. Windischgraetza, ale do położenia, w którem znajduje się nowy gabinet i koalicya parlamentarna dziś już zastosować można wyrażenie niemieckie: das ist der Anfang vom Ende!

S—l.

---

kroku tak, jak przypadkiem, czy też z dobrej jego woli spotykałam go dotąd!

— Jutro pierwszym pociągiem wyjeżdżam na wieś do siebie. Życzenie pani spełnię skrupulatnie: tylko depesza, wzywająca na pogrzeb przyjaciela mego, byłaby w stanie sprowadzić mię do miasta. Julek Rossowski, zdaje się, nie myśli o śmierci, zatem — żegnam panią na czas nieograniczony...

Skłonił się, odchodząc w głąb pokoju. Miękka wełna dywanu stłumiła jego kroki. W progu salonu zatrzymał się przez chwilę, jak gdyby chciał wrócić: kilka minut upłynęło, nim służący przeprowadził go przez długi wązki korytarz przedpokoju i zatrzasnął drzwi za nim.

Wanda, ogłuszona, odurzona, pozostała sama. Na razie zdawało się jej, że sufit wraz z ciężkim, zawieszonym pośrodku żyrandolem wali się na nią: taki ciężar czuła w głowie, taki ogłuszający szum w uszach i ciemność w oczach.

Powoli zaczęła przychodzić do przytomności. Stopniowo rozjaśniał się jej umysł, jak gdyby jeden po drugim zapalano w nim płomyki jaskrawych światełek, aż nareszcie blask gorący zalał wnętrze jej piersi: tak widno zrobiło się w niej i dokoła niej, jak gdyby po zmierzchu nocy zapanował dzień jasny.

Padła na fotel najbliższy i zakrywszy oczy rękami, płakała... Płakała nie ze smutku, lecz z radości.

Uczuła się wolną w tej chwili: między nią a Maryanem wszystko było skończone; miała nie zobaczyć go już nigdy; czarna, krepą żalu i niepokoju przysłonięta karta jej życia zapadła w głębię bezpowrotnej przeszłości; przed nią rysowało się jutro, pełne uroku swobody...

Nie pamiętała ani jednego słowa rozmowy swej z Maryanem: w chaosie wrażeń nie była w stanie przypomnieć jej sobie, wiedziała tylko, że skłamała, jak jeszcze nigdy dotąd, a potem że odpędziła od siebie demona losu, czarną, niepojętą potęgę, budzącą rozterki myśli jej i uczuć.

Ani jednem słabem drgnieniem nie odezwała się w niej upokorzona ambicya kobiety odtrąconej.

Tak być musiało: ona musiała skłamać miłość, którą dla szczęścia jej odrzucono: ktoś drugi w niej za nią mówił i działał: „ten drugi“ przycichł teraz nagle, a ona uczuła wielki spokój.

Odsłoniła oczy i zdawało się jej, że przy bladem świetle lampy spostrzega przedmioty, których nie widziała dawniej w dzień biały.

Miała ochotę śmiać się sama do siebie głośno, tak głośno, aby Maryan, błądzący może pod oknami jej pokoju, mógł ją usłyszeć.

Wszystko między nimi było skończone: miała nie zobaczyć go już nigdy, miała zapomnieć, że istniał kiedykolwiek na świecie.

Z upojeniem wchodzącego w świat podlotka rzuciła się tej wiosny jeszcze w wir zabaw: obraz Maryana zatarł się w umyśle jej zupełnie; nie słyszała o nim nic zgoła: zniknął najzupełniej z widowni towarzyskiego świata; nawet przyjaciel jego, Rosowski, nie wspominał o nim.

W rok potem Wanda, poznawszy w czasie letniej wycieczki za granicę młodego, przystojnego inżeniera, dyrektora jednej z największych fabryk w Warszawie, Bolesława Zaleskiego, pokochała go miłością prawdziwą, serdeczną, pozbawioną chorobliwych urojeń; wzajem kochana, poślubiła go wkrótce i przez cztery lata po ślubie była jedną z najszczęśliwszych kobiet na świecie. Bolesław ubóstwiał ją, ona — nawzajem kochała go nad wszystko. W rok po ślubie przybył mały Mietek, krzykliwy, żarłoczny, domagający się niesfornie piersi matki; w trzy lata po nim ujrzała światło dzienne Halka, delikatna, wątła, o profilu białej kamei.

Halka przyjściem swojem na świat sprowadziła ciężką chorobę matki. W maja-

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ponieważ ustawiczny pobór do szeregów ministeryalnych we Francyi wyczerpał już starsze pokolenie, więc musiano powołać rekrutów młodszych. Sześćdziesięcio i pięćdziesięcioletni kandydaci odsłużyli już swoje miesiące lub tygodnie i zostali jako „zużyci“ zaliczeni do inwalidów; teraz przyszła kolej na czterdziesto i trzydziestoletnich. Komendę nad nimi objął Casimir-Perier, były prezes Izby a wnuk sławnego Kazimierza Periera, którego imię przyłączył sobie do nazwiska. Nowy ten wódz nie wyróżnia się żadnemi szczególnemi zdolnościami, a jego wystąpienie na widownię oznacza tylko zwrot rządu w kierunku konserwatywnym. To też prasa liberalno-radykalna dowiedziawszy się, na kogo padł wybór prezydenta Rzeczpospolitej, krzyknęła: „Teraz Francyą rządzi papież!“ Niezadowoleni pocieszają się jednak zwykłą we Francyi nadzieją, że i ten nie zagrzeje miejsca. Zaraz nazajutrz niewiele brakło, ażeby ledwie z trudem ułożony żywy obraz zapadł się wraz z całem rusztowaniem. Na szczęście uznano, że byłoby to za wcześnie.

Dupuy, roztoczywszy przed Izbą (której obecnie prezyduje) swój program, upadł; teraz C. Perier również przedstawił jej swój program i może za tydzień upadnie. Czy warto zastanawiać się nad tymi krótkoterminowymi programami, przepełniającymi archiwa rządu francuskiego i nigdy niewykonanymi? Brak do tego już nietylko chęci, ale nawet czasu. Bo zanim najpośpieszniejszy krytyk zdoła rozebrać deklaracyę rządu, pojawia się nowy rząd i nowa deklaracya. Zresztą w tych oświadczeniach zwykle jest więcej pustych łupin, niż ziarna.

Przesilenie gabinetowe w Serbii ma jakieś ukryte sprężyny, które czynią je niezrozumiałem. Gdy chory Dokicz zrzekł się ostatecznie przewodnictwa w ministeryum, radykaliści chcieli gwałtownie powierzyć tę rolę swojemu ulubionemu Pasiczowi. Tymczasem król, chociaż przez nich usamowolniony i zawsze im dogadzający, oparł się temu wyborowi z przyczyn nieznanych, a dla niego ważnych: powołał Sawę Gruicza. Gazety, mające pretensyę do podpatrywania tajemnic, utrzymują, że całą tą sprawą kieruje Milan, nielubiący Pasicza.

Świeżo utworzony we Włoszech gabinet Zanardellego nie należy również do tych tworów, którym cyganki dziennikarsko-polityczne wróżą długie życie. Przedewszystkiem określono go jako „zbiór miernot i komparsów,“ niedorosłych do trudności swego zadania. W tem zadaniu tkwi głównie obowiązek poprawy finansów, wymagający czegoś więcej, niż nawet Salomonowej mądrości.

Wywołana zamachami dynamitowymi wieść o międzynarodowem wystąpieniu przeciw anarchistom, dotąd nie potwierdziła się, rząd zaś niemiecki oświadczył, że nie weźmie na siebie inicyatywy w tem przedsięwzięciu, chociaż gotów jest w niem uczestniczyć.

Może jasnowidze, którymi świat tak obficie się zaroił, znają istotny stan rzeczy w Brazylii, ale zwyczajni śmiertelnicy nie mają o nim przybliżonego pojęcia. Jeżeli przybędzie do Europy telegram, donoszący o zwycięztwie powstańców, to z pewnością za godzinę przyleci za nim drugi, zawiadamiający o zwycięztwie armii rządowej. W zeszłym tygodniu nawet dowodzący tą ostatnią, gen. Peixoto, był przez kilka dni zabity, poczem znowu zmartwychwstał.

Według ostatnich depesz, kabylowie ulegli sultanowi marokańskiemu i opuścili sporne terytoryum pod Melilą. W braku czegoś lepszego hiszpanie nazywają to „tryumfem swego oręża.“

BADANIA NAUKOWE.

Angelo Mosso, *Znużenie*, przełożył Maksymillian Flaum. Warszawa, 1892.

Nasze piśmiennictwo naukowe, ubogie w dzieła samodzielne, zasila się od czasu do czasu pracami literatur obcych. Wprawdzie ani wybór tych prac nie zawsze bywa szczęśliwy, ani też ich przekłady staranne, wykonane ze znajomością rzeczy i troskliwością o mowę ojczystą. Godny naśladowania wyjątek pod tym względem stanowią tłomaczenia p. M. Flauma. Z pomiędzy nich zaś na szczególną uwagę zasługują przyswojone przez niego naszej literaturze dzieła A. Mosso, nie dla tego, żeby ich przekład był lepszym od innych, przez niego dokonanych, ale dla tego, że poświęcone są zagadnieniom ważnym dla każdego i że je podają w formie przystępnej dla wszystkich. Są to: *Strach* i *Znużenie*.

Z treścią pierwszego czytelnicy *Prawdy* są już poznajomieni, gdyż w swoim czasie podałem o niem krótką wiadomość. Obecnie więc zajmę się drugiem, noszącem nagłówek *Znużenie*.

Znużenie, zarówno jak i strach, są zjawiskami psychicznemi. Może kto zapytać: skąd przychodzi fizyologowi, jakim jest Mosso, zajmować się zagadnieniami, które należą do psychologa? Na to możnaby dać kilka odpowiedzi. Poprzestanę na jednej.

Pomijając kwestyę metafizyczną, dotyczącą istoty duszy i ciała, musimy się zgodzić, że zarówno zjawiska duchowe, jak i cielesne, są objawami życia, które nie jest mechanicznem sprzężeniem składowych pierwiastków, ale ich syntezą. Jakkolwiek zjawiska duchowe i cielesne różnią się od siebie, pozostają przecież w ścisłej zależności i wzajemnie na się oddziaływają. Stanowią one całość organiczną, którą analiza naukowa musi rozkładać na części w celu zbadania jej pierwiastków, ale zarazem musi pamiętać, że rozróżnione w ten sposób pierwiastki są abstrakcyami, pozbawionymi konkretnego bytu. Zjawiska duchowe stanowią przedmiot psychologii, cielesne — fizyologii. Otóż, jak psycholog, badając objawy myśli, uczuć i woli, musi uwzględniać wpływy na nie warunków cielesnych, tak również fizyolog, badając sprawy cielesne, nie powinien zapominać o tem, że są one sprawami żyjącego organizmu, w którym wszystkie czynniki wzajemnie przeciwważą się, dążąc do harmonijnej jedności. Jakoż powstała w naszych czasach nowa nauka, psychologia fizyologiczna, której głównem zadaniem jest poznanie stosunku duszy do ciała, wykrycie praw, tym stosunkiem rządzących. Nauka ta, czysto doświadczalna, wymagająca wiadomości technicznych, skutecznie może być uprawiana tylko przez fachowego fizyologa. Do zakresu jej należą właśnie wymienione dzieła A. Mosso, który jest znakomitym fizyologiem, obeznanym dokładnie ze współczesną psychologią, który zatem posiada wszelkie przymioty, jakich wymagają tego rodzaju badania.

Czem jest znużenie, rozważane ze stanowiska psychologicznego? Tyle tylko odpowiedzieć można, że jest ono stanem du-

---

czeniach gorączki przez cztery tygodnie Wanda nie poznając nikogo z obecnych, widziała przed sobą ciągle tylko Maryana, o nim mówiła bez przerwy, narzekała, że męczy ją, a jednocześnie szukała go nieprzytomnym, pałającym wzrokiem.

W chorym jej umyśle przeszłość nierozerwalnym łańcuchem splotła się z rzeczywistością. Już majaczenia gorączki minęły, a ona ciągle jeszcze widziała przed sobą Maryana. Wchodził przez otwarte drzwi pokoju, stawał przed nią i rozpoczynał grę giestów i spojrzeń, których ona nie rozumiała nigdy.

Zaczęła doznawać tych samych walk wewnętrznych, tych samych udręczeń, przez jakie przechodziła pięć lat temu. Tak samo, jak wtedy, czuła przygniatający ciężar w głowie, na piersiach, a jednocześnie całą jej istotę rwał, szarpał niepokój.

Bolesław, wezwany nagłą depeszą, wyjechał na początku maja w interesach fabryki za granicę, gdzie miał zabawić przeszło miesiąc.

Przez kilka pierwszych dni jego nieobecności Wanda pytała co rano, gdzie jest, dlaczego nie przychodzi do niej? Po kilku dniach zapomniała o nim.

W usposobieniu jej poczęły zachodzić dziwne zmiany. Nieraz stawała się kapryśną, nerwową, zmieniała upodobania i zachcianki swoje z każdą godziną. To, co bawiło ją dziś, zaczynało nudzić nazajutrz.

Któregoś dnia, za zezwoleniem lekarza, wprowadzono do niej dzieci po raz pierwszy. Spojrzała na nie obojętnie, jak na istoty, które niczem szczególnem nie były w stanie zająć jej uwagi.

Mietek, poznawszy ją, przystąpił do niej onieśmielony, czerwony z trwogi i zakłopotania. Spoglądając to na nią, to na babkę, trzymającą go za rękę, rzekł w końcu:

— Babciu, ja muszę pocałować mamusię!..

Wspiął się następnie na palce, zarzucił obie rączki na szyję matki i całując z całej siły czoło, usta i włosy jej, wołał:

— Ja ciebie bardzo, bardzo kocham, mamusiu.

Ona, najobojętniej, jak dziecko, przyprowadzone dla rozrywki jej z ulicy, pogłaskała malca po włosach.

— Ładny chłopczyk — rzekła z wyrazem twarzy, po którym można było sądzić, iż powie za chwilę:

— Nudzi mię; weźcie go stąd!

Na Halkę nawet nie spojrzała.

Wyprowadzono dzieci. Mietek z płaczem wołał:

— Ja chcę tu zostać przy mamusi...

Ona patrzyła na niego obojętnie, nie rozumiejąc go zgoła. Niczem nie zdradzała powrotu do zdrowej, normalnej pamięci. Jakieś ponure, przykre obrazy, to, co najgorszego spotkało ją w życiu, musiało cisnąć się do chorych jej myśli: skurcz twarzy, nagłe, niespokojne marszczenie brwi i czoła, towarzyszące cichym jej refleksyom, zdradzały wewnętrzny niepokój.

Po nagłych wybuchach nerwowej złości, której nikt z otoczenia nie mógł zrozumieć, naraz uspakajała się, wpadała w grobowe milczenie. Lekkiem, zaledwie dostrzegalnem skinieniem głowy odpowiadała na zadane jej pytania.

Któregoś dnia matka spytała ją:

— Może tęsknisz za Bolesławem?

Spojrzała na nią zdziwionemi oczami, jak gdyby chciała odpowiedzieć:

— Nie znam go: kto on?

Po chwili w milczeniu skinęła głową na znak, że nie tęskni za nikim.

W kilka dni później Stefania spytała:

— Czy ty kochasz mnie, mateczkę swoją?

Zarzuciła obie ręce na szyję jej, płacząc i zaczęła całować ją namiętnie.

Widząc to budzące się w niej życie, ostrożnie, zwolna Stefania zaczęła mówić o dawnych jej latach i rozgadała się potroszę.

Każdą chwilę swego dzieciństwa pamiętała dobrze: powtarzała szczegóły, o których zapomniała najzupełniej nawet matka jej.

szy przykrym. Co się tyczy właściwości tego stanu, wyróżniającej go z pośród innych, również przykrych, pod tym względem musi czytelnik odwołać się do osobistego doświadczenia. Żadne tu bowiem definicye na nic się nie zdadzą. Najdokładniejsza nawet może być zrozumiała tylko dla tego, kto sam doznawał znużenia.

Należy ono do tak zwanych czuć wewnętrznych, czyli organicznych, to jest takich, które powstają nie pod wpływem wrażeń zewnętrznych, jak czucia zmysłowe, ale wewnętrznych, wskutek zmian, jakie zachodzą w narządach organicznych z powodu ich czynności życiowych.

Przyczyną znużenia jest praca bądź fizyczna, bądź umysłowa, inaczej, czynność mięśni i układu nerwowego, a przedewszystkiem mózgu, który nawet w pracy fizycznej główną odgrywa rolę, jako narząd, wysyłający do mięśni pobudzenia i nadający ich ruchom pewien kierunek. Znużenie miewa różne stopnie, zależnie nietylko od ilości pracy, ale i od różnych warunków, w jakich ona się wykonywa. Stosownie do tego i objawy znużenia, jego przypadłości bywają różne. Wogóle znamionuje się ono powszechną ociężałością, niesprawnością ruchów, bólami głowy, zobojętnieniem na wszystko, a nawet zniechęceniem, doprowadzającem nieraz do samobójstwa. Znużenie bywa także przyczyną chorób umysłowych i śmierci.

Ponieważ jest ono czuciem organicznem, wywołanem zmianami, jakie zachodzą w mięśniach i mózgu pod wpływem pracy, nasuwa się więc pytanie, jakiego to rodzaju są owe zmiany, na czem one polegają? Jak wiadomo, wszelkiej pracy towarzyszy przemiana materyi organicznej, a mianowicie, ciała bardziej złożone i niestałe przekształcają się na prostsze i względnie stałe. Przemiana ta ciał organicznych stanowi istotę procesu, zwanego dezasymilacyą. Wskutek tego, że podczas pracy dezasymilacya nabiera coraz większej przewagi nad asymilacyą, czyli odnową zniszczonych tkanek, mięśnie i mózg stają się niedokrewnemi, a nadto nagromadzają się w nich ciała, powstałe z rozkładu białka, zwane wogóle *leukomainami*, które są trucizną dla nich, paraliżują i zabijają komórki mięśniowe. Tak więc, z jednej strony niedokrewność mięśni i mózgu, czyli ich wyczerpanie się, z drugiej nagromadzenie w nich ciał trujących stanowi bezpośrednią przyczynę wszystkich przypadłości znużenia, oraz uczucia przykrości, jakie im towarzyszy.

Znużenie ze wszystkiemi swemi przypadłościami bywa skutkiem pracy nadmiernej, która zatem jest szkodliwą. Przeciwnie, umiarkowana jest pożyteczna dla organizmu, ułatwia bowiem przemianę materyi, która stanowi konieczny warunek życia, a trwa tak długo, póki się nie okażą pierwsze objawy znużenia, a mianowicie—ociężałość fizyczna i umysłowa. Wtedy musi ona być przerwana i zastąpiona przez wypoczynek, który niekoniecznie ma oznaczać powstrzymanie się od wszelkiej czynności. Może nim być zajęcie, niewymagające wielkiego natężenia uwagi, gdy idzie o znużenie, spowodowane pracą umysłową.

Podczas wypoczynku bierze przewagę asymilacya nad dezasymilacyą, skutkiem czego następuje odnowa zużytych tkanek mięśniowych. Dzięki zwiększonemu oddychaniu obieg krwi staje się szybszym. Krew, dostarczając tkankom pierwiastków, potrzebnych dla ich odnowy, pochłania zarazem nagromadzone w tych tkankach ciała, które w nich powstały drogą dezasymilacyi i które dla nich są zabójcze. Ciała te przenosi ona do narządów bądź przetwarzających je na ciała pożyteczne dla ekonomii życiowej, jak wątroba, bądź do narządów wydzielających, jak nerki.

Stopień znużenia nie zawsze odpowiada tej samej ilości pracy. Stosunek bywa tu rozmaity nie tylko dla różnych osób, ale i dla tej samej osoby w różnych warunkach życia. Jedni są mniej, drudzy więcej wytrwali. Biorąc pod uwagę samą tylko pracę umysłową, spostrzegamy znaczne różnice w ludziach, działających na polu literatury i nauki. Kiedy jedni mogą pracować po dwanaście godzin dziennie, inni po kilku godzinach muszą przerywać zajęcie, szukając pokrzepienia w krótszym lub dłuższym wypoczynku. Najznakomitszy ze współczesnych przyrodników, Karol Darwin, nie mógł dłużej oddawać się pracy, jak dwie godziny przed i dwie po południu, robiąc w ten sposób, jak sam się wyraża, dwa dni z jednego.

Mniejsza lub większa wytrwałość musi zależyć od cząsteczkowej budowy tkanki nerwowej i mięsnej. Liczne bowiem przykłady przekonywają, że ludzie wątłej budowy bywają często wytrwali w pracy, mniej podlegający znużeniu, niż odznaczający się silną budową, mający mięśnie grube i rozwinięte.

Dla zbadania stosunku, jaki zachodzi między ilością pracy wykonanej, a wywołanem przez nią znużeniem. przeprowadzał fizyolog włoski liczne doświadczenia tak nad tym samym osobnikiem w różnych warunkach, jako też w tych samych warunkach nad różnymi osobnikami. Doświadczenia te robił za pomocą obmyślanego przez siebie przyrządu, który nazwał *ergografem*, a który opiera się na tej zasadzie, że praca umysłowa wyczerpuje nie sam tylko mózg, ale i mięśnie, raz dla tego, że w niej i one biorą także pewien udział, powtóre dla tego, że mięśnie dowolne tylko pod wpływem mózgu mogą się kurczyć i wykonywać ruchy. Mózg znużony mniej jest zdolny do pobudzania ich, jakoż ruchy ich stają się wtedy mniej trwałemi i energicznymi. W ten sposób dają dokładną miarę zmęczenia mózgu, spowodowanego pracą umysłową.

Drogą licznych doświadczeń, robionych nad sobą, nad swymi kolegami i słuchaczami, dochodzi autor do wniosku, że stosunek pracy do znużenia, różny dla różnych osobników, jest stały dla tego samego w normalnych warunkach. Wszelkie zmiany tak pod względem zdrowia, odżywiania się, jako też usposobień moralnych, wywołują w tym stosunku mniejsze lub większe zboczenia.

Władysław Kozłowski (Lwów).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Piotr Loti, *L'exilée* (Wygnanka), Paryż 1893.

Kiedy przekroczyła granicę rumuńską, lud ją powitał z chlebem i solą. W Dżurdżewie tłum włościan dołączył się do jej orszaku, złożywszy w darze choinkę zdobną w wstęgi i złocone jabłka. Wsiadła potem z mężem do powozu, zaprzężonego ośmiu końmi, a po kilku godzinach zarysowała się na horyzoncie sylwetka Bukaresztu. Na szafirowe tło nieba rzucały się olbrzymie, stare drzewa, z pośród zieleni wybłyskiwały złociste banie cerkwi — trzystu sześćdziesięciu. Wille

---

Doktór nie pozwolił męczyć jej długo, kazał jednak po troszę wskrzeszać pamięć chorej gawędą o przeszłości.

Któregoś dnia rano, obudzona blaskiem słońca, wpadającym przez szyby wielkiego weneckiego okna do wnętrza jej pokoju, powiedziała do matki:

— Pojedziemy dziś na spacer, czy dobrze?

Lekarz nakazywał jej oddawna już codzienną przejażdżkę, której ona do tej pory wszakże nie chciała używać: matka, ucieszona pierwszym objawem chęci jej w tym względzie, ubrała ją szybko i około południa wyjechały obie, podążając ku alejom.

Wanda rozglądała się po mieście, jak gdyby widziała po raz pierwszy. Wszystko ją zaciekawiało. Nieraz, spojrzawszy na ten lub ów, niedawno jeszcze, najwyżej od lat trzech lub pięciu stojący budynek, mówiła:

— Dziwna rzecz, iż ja go nie znam zupełnie...

Stefania przypominała jej, iż niejednokrotnie przyjeżdżała lub przechodziła koło niego, że nawet razem często mijały ulicę, na której stoi. Słowa jej zastanawiały ją: marszczyła brwi, chmurzyła czoło, pracując nad wydobyciem z pamięci tkwiących w niej obrazów, praca ta jednak musiała okazywać się bezowocną, posępniała bowiem, oczy jej zachodziły łzami.

Po powrocie z przejażdżki wpadła w długie zamyślenie.

Nazajutrz, siedząc w wygodnym, bujanym fotelu na oszklonej werendzie, pełnej kwiatów, patrząc na słońce, przeświecające przez wachlarze palm i długie mięsiste języczki agawy, przez błyszczące, twarde, jak gdyby wypoliturowane liście kamelii i strzępiaste wielkie a la roccoco płaty filodendronów, rzekła:

— Powiedz mi, mateczko, czy ja długo chorowałam?

— Długo, bardzo długo i niebezpiecznie, odparła Stefania, siadając obok niej, na nizkim drewnianym zydlu.

— Jak to było? Opowiedz mi wszystko, tylko po kolei i bardzo, bardzo szczegółowo.

Matka spełniła jej życzenie. Opowiedziała, iż zachorowała przy przyjściu na świat małej Halki, że była wielka obawa o życie jej i dziecka, że dziś — córka jej zdrowa, a i ona sama też wkrótce powinna przyjść do siebie zupełnie.

Wanda słuchała pilnie, śledząc badawczo każde słowo matki.

— Pokażcie mi Halkę—zażądała w końcu krótkim urywanym tonem głosu, z którego nie można było poznać, dlaczego pragnie ujrzeć dziecko.

Gdy Maryśka w białym swym czepku, niebieskim gorseciku i czerwonej sukni, a Halka na jej ręku, biała, uśmiechnięta, z jasnemi swemi oczkami i dosyć już gęstą złotą czuprynką stanęły w progu, rozpłakała się.

Podano jej dziecko: pieściła je długo, całowała i przyciskała do piersi jasną jej główkę.

Kiedy Maryśka odeszła z Halką, zasłoniwszy oczy rękami, głośnem wybuchnęła łkaniem.

— Ja nic, nic nie pamiętam! — wołała, zanosząc się od płaczu.

Od tego dnia posmutniała dziwnie i wpadła w głuche, milczące rozpamiętywanie. Próżno matka i lekarz usiłowali rozerwać ją rozmową: nic ją nie obchodziło; obojętna, bierna, skupiona w sobie, całemi godzinami siedząc przy oknie, patrzyła bezmyślnie na ruch uliczny.

. . . .

(D. n.).

C. Walewska.

i pałace bojarów biegły rzędami strojne i białe, a hen ku północy błękitniało pasmo karpackie Bucegi ze szczytami zakutymi w śnieg wieczny.

Więcej niż dwadzieścia lat życia spędziła tu na Wołoszczyźnie księżna, później królowa Elżbieta. Przez więcej niż dwadzieścia lat zapalało się w jej komnatach na zamku bukareszkim lub sinajskim światło o trzeciej z rana. Tu powstała większość dzieł ogłoszonych po niemiecku i francusku pod pseudonimem Carmen Sylvy, tu nareszcie życie wbiło jej w piersi cierń, po którym pozostała rana szeroka, trudna do zagojenia...

Zasłużyła się „swemu“ narodowi. Popierała literaturę rumuńską, sztukę, przemysł. Wszczepiła w umysły otoczenia poszanowanie dla kultury Zachodu. Cudzoziemka nie stała się dla Multan Marysieńd'Arquien, przeciwnie więcej niż inni baczyła na zachowanie cech narodowych. Drobny to szczegół, lecz charakterystyczny, dowodzący wielkiej delikatności duszy: urodzona w Niemczech, przesiedlona do kraju, któremu mogła z łatwością narzucić obcą modę, uczyniła strojem nadwornym strój rumuński. Piękną powłóczystą szatę, brzeżoną srebrem i wyszywaną różnobarwnym jedwabiem, długi, prawie stóp sięgający welon, znany każdemu, kto widział fotografię Carmen Sylvy, ona uczciła.

Dziś jest wygnanką. Chciała, aby kiedyś na tronie królewskim obok jej przybranego syna zasiadła rumunka, znająca byt swego narodu, kochana przez męża. Uderzyły na nią za to chmury bojarów, bo nadawała przewagę jednej z rodzin krajowych. Oświadczyły się przeciw niej izby, odstąpił ją prawie mąż, wreszcie następca tronu zerwał z narzeczoną. Dość padło gorzkich kropli do kielicha duszy, opuściła Rumunię i wyjechała do Włoch, potem do Niemiec. Kiedy napół już utonęła w zapomnieniu, przyjaciel jej, Loti, poświęcił jej książkę.

Zbiorek: „L'exilée“ do połowy tylko zajmują wspomnienia o królowej Elżbiecie. Znajdziesz tu jeszcze opis Konstantynopola, studyum o kobiecie japońskiej, „Zapomnianą stronicę z Pani Krezentyny“, „Usypiaczy wężów.“ Ale szkice p. t. „Carmen Sylva“ i „Wygnanka“ umieszczone na wstępie panują nad innymi. Przepełniają duszę taką ilością wrażeń, budzą tyle sympatyj dla szlachetnej kobiety, że nawet po pięknych obrazach Wschodu, Maroka i Japonii myśli do nich znowu wracają.

„W życiu mem koczowniczem razu pewnego stanąłem u wrót zaczarowanego zamku wróżki.

„Ilekroć odtąd posłyszę granie rogów śród boru, odżywają we mnie wspomnienia tego pobytu.“

Jest to początek szkicu „Carmen Sylva“, napisanego przed kilku laty, lecz dopiero teraz wciągniętego w zbiór książkowy. Stanowi on jakby przygrywkę do dłuższego wspomnienia następnego. Niebo nad głową Elżbiety jeszcze bez chmurek, świerki na wierzchach karpackich wkoło zamku Sinaja piją chciwie słońce, las rozbrzmiewa trąbką ćwiczącego się w dali oddziału. Królowa z kilku towarzyszkami, król i jego matka, wreszcie poeta stąpają po dróżynie wysypanej czystym piaskiem, na trawie i mchu u stóp drzew lśnią kryształy szronu. Chłodno, chociaż już dziewiąta, ale to wrzesień, góry i powietrze leśne.

Potem wracają do zamku, Carmen Sylva siada w pracowni i lekkim, gibkim pędzlem maluje na pergaminie figury i kwiaty: ozdoby bizantyńskie. Albo gromadzi w koło siebie „córki,“ zaprasza autora „Rybaka islandzkiego“ i odczytuje głosem dźwięcznym i miłym jedną ze swych nowel. Teraz przeniosła się do domku strzeleckiego, gdzie ma gabinet; sosny przysłaniają okna, a z melodyą słów miesza się szmer strumyka, padającego z bliskich wierzchołków.

Każdy ruch jej ma w sobie coś ujmującego, każdy gest zdradza wykształcenie umysłu i serca. Twarz młoda, tylko włos przyprószony siwizną.

„Dziś rano, kiedy wszedłem do sali królowej, zdumiałem się na widok powodzi kwiatów. Niby upadł deszcz róż. Krzesła, ławeczki, kobierce kryły równianki, stoły uginały się pod wieńcami, ze ścian chyliły się na pół rozkwitnięte różyczki. Białe, różowe, żółte.

Nieco w dali, na podwyższeniu stała królowa. Dziś były jej imieniny. „Zabroniłam dziewczętom mówić panu o tem — przywitała mię — mam już tyle kwiatów...

Nie dokończyła. Nie łudziły jej róże.

Było to w kwietniu 1890, trzy lata po pierwszych odwiedzinach.

Oblubienica następcy tronu stała przy Elżbiecie, średniego wzrostu, żywa. W rozmowie występował w pełni jej urok: kobieta o wielkich zdolnościach literackich.

Około drugiej zeszły się dawne panny przyboczne królowej na zabawę. Wchodziły do sali małemi gromadkami z cieplarni pełnej palm. Lśniły złotem, prawie wszystkie czarnobrewe. Na twarzach igrały uśmiechy, ale z uśmiechów i wejrzeń biła nieszczerość. Żal miały do królowej, że wyróżniła jedną z nich.

Tańczyły „horę“, prosiły królowę do tańca. Ach jak zmieniła się! Na czoło włożyła przepaskę, którą noszą w Rumunii starsze kobiety. „Nieprawdaż“ — mówiła do jednej z towarzyszek, już w moim wieku nie chodzić bez starczej ozdoby.“

Nazajutrz Piotr Loti wyjechał do Konstantynopola. Spotkał królowę w półtora roku później w Wenecyi. Już nie w swoim gościła go zamku. Najęła pałac Danieli, gdzie niegdyś republika wenecka przyjmowała posłów — szukała ratunku nad morzem.

„Ledwie dniało, gdy wysiadłem z pociągu pośpiesznego na dworcu Wenecyi. Zmrok jak popiołem przysypywał otaczające mię rzeczy. Wsiadłem w jedną z gondol drzemiących u brzegu i popłynęliśmy wodą ulic. Czarne stuletnie domy spały jeszcze.

„Skręciliśmy, jutrzenka rzuciła kilka różowych odblasków na długi perłowo-siny Canal Grande. Znowu skręt, cisza, cienie, głos gondoliera płynącego z innej ulicy. Most westchnień, pałac dożów, dzwonnica i tum św. Jerzego, muśnięte promykami wschodzącego słońca.

„Lecz zaledwie patrzyłem na to wszystko tak piękne. Wydawało mi się tylko ramami ogarniającemi postać smętnej królowej, do której zdążałem.“

O dziesiątej przyjęła go. W białej szacie powitała uśmiechem łagodnym. Ale podejść nie mogła. „Taka chora, taka chora“ uprzedzała poetę panna Katarzyna. „Musimy ją nosić lub wozić w krześle. Już po jej chodzie, po pięknej postawie.“

U stóp siedziała Helena. Opodal grupka wiernych, którzy nie opuścili jej w złą godzinę.

Czy tylko smutki rzuciły Carmen Sylvę na łoże boleści? Głównie one. Ale przyczyniła się także praca gwałtowna, ranne wstawanie, czuwanie do późna. Nerwy, które kazały pisać jednym ciągiem, bez opracowania późniejszego, gorączkowość wstrząsająca organizmem, myślą, czynem.

Pięknie było niegdyś w jej komnatach, teraz opuszczenie, chociaż nieznaczne. Biedna, musiało ją to razić, a nie miała sił urządzić się lepiej...

Pod wieczór gromadka wyjechała na przejażdżkę. Królowa dziwnie dobrze się czuła. Może nowe wrażenie, przyjazd duszy życzliwej, może słabość zaczaiła się, aby jutro silniej pochwycić?

Czarna gondola z błyszczącymi końmi morskimi u przodu, w tyle baldachim. Gondolierzy biało ubrani, w niebieskich pasach.

„Płynęliśmy między starymi milczącymi domami. Potem dzielnica żywa, pełna dzieci kąpiących się i tak wesoło dokazujących, że królowa aż roześmiała się. Zapomniała o sobie na chwilkę.

Pisma wciąż donosiły o Helenie. „Cóż dzisiaj?“

„Po raz trzeci odbieram sobie życie. Wypiłam wiele laudanum, ale Wasza Mość się uratowała.“

O zmroku powrót. Po wieczerzy znów wypłynęli. Tym razem do gondoli dołączyła się druga z muzyką. Oświetlona płynęła przodem. Królowa siedziała pod baldachimem, muzyka wieczorna była jednym ze środków zaleconych przez lekarzy. Jej dźwięki w ciszy nocnej to grzmiały silnie łamiąc się o mury, to milkły i zamierały. O jedenastej wrócili.

Nazajutrz królowa była smutniejsza, bardziej wysilona.

Atak choroby, więcej jeszcze „egzekucya.“ Tak dla niej przykra. Pokojowa, którą oddawna już panny przezwały Marino Falieri, musiała być dziś odprawioną. Okazało się, że kradła lub przepisywała listy królowej i kartki z jej dziennika, aby sprzedać je potem nieprzyjaciołom pani. A kto znał Elżbietę, mógł wiedzieć, że nic nie znajdą w nich wrogowie.

Książę — następca nie nie pisał, nie zerwał jeszcze, choć zerwania napewno należało spodziewać się. Pocóż zwlekał? Dzień za dniem szedł, a wyczekiwanie nużyło.

Do południa królowa pozostała w mieszkaniu. Po obiedzie wypłynęli. Przyrzekła dziś odczytać przyjacielowi części „Księgi duszy,“ ostatniego swego dzieła.

Szeroka laguna, słowa płyną po wolnej, dużej przestrzeni. Poprzednio Carmen Sylva rozdzieliła między towarzyszących jej ciastka i brzoskwinie. Jedna splamiła narzutkę perłową. „Ach jak żal mi jej, tak ją lubiłam!“

Piękne było dzieło. Dusza ludzka zgłębiona, cierpienie i pokora. Krótkie rozdziały, wielka poezya. Królowa przestawała, potem czytała znowu. Padł zmrok wreszcie i Wenecya czarno zarysowała się na niebie.

Nazajutrz rano gość odjeżdżał. Wzywały go czynności służbowe. Przybył pożegnać się, ale przyjaciółka bardzo była chora. Nie mógł jej widzieć i tylko kilka słów pożegnalnych skreślił na bilecie.

Już w wagonie doręczył mu zadyszany „fachino“ list. „Nie mogę prawie pisać, coraz mi gorzej, leżę w łóżku.“ Kilka słów jeszcze serdecznych i szczerych.

„Ostatni raz czytałem pismo królowej.

„Odtąd cisza zaległa wkoło jej postaci. Ołowiana zasłona zapadła przed jej piękną twarzą, dowiedziałem się, że wywieziono ją nad jedno z jezior włoskich, daleko od wiernych. A teraz znajduje się w jakimś zamku smutnym nad Renem.“

W „Konstantynopolu“ czuć nieco skrępowanie autora. „Kobiety japońskie“ dają obraz pełny i piękny, „Zapomniana kartka“ jest świeżą jak liść dębowy. Zatrzymam się dłużej nad „Usypiaczami wężów.“

W Tetuanie, białem mieście, wiosna, spokój nieruchomych wieczorów różowych. Na domach, tarasach, świeci biel wapna, ludzie kroczą niby senni, marzący, z czarnemi, wspaniałemi oczyma. Słońce zachodzi, dróżyny, przechodnie, mieszkania mienią się odbłyskami złotymi, różowymi, niebieskimi.

Tu i tam kwiaty wiosenne, rezedy, maki polne. Lecz nie mącą ogólnej harmonii. Nigdzie twardych cieni, silnych zarysów.

Cisza wokoło.

Wtem trochę w oddali zajęczał smutno flet i rozległo się bicie pałeczek w mały bęben. Usypiacze wężów. Wtedy półsenni przechodnie skierowują swe kroki ku nim i otaczają ich kręgiem. Usypiacze nadzy,

o twarzach bronzowych, tańczący jak węże, wyginają biusty, trzęsą włosami. W takt.

Z miejsca gdzie się znajdują: z rozdroża na wzgórzu szeregi domów widnieją, jak białe, niewyraźne linie. Marokańczycy stoją zadumani, milczący. Wieczór pada lekko, zwolna, napełniając duszę. A muzyka z fletów leje się falami cichemi i łagodnemi i niby do snu kołysze.

Do snu cichego, długiego. Do snu na wieki.

Włodzimierz Bugiel.

NOWE KSIĄŻKI.

Helena Ceysinger, *Ze znalezionych kartek.* Warszawa.

Pierwszą część pod powyższym tytułem stanowi pamiętnik suchotnicy, pisany pod włoskiem niebem, gdzie ją zawieźli dla poratowania zdrowia. Bohaterka młoda z dniem każdym traci siły i z bólem patrzy na miłość dwojga ludzi: jej narzeczonego i przyjaciółki—kuzynki. Kartki rozsnute są na tle psychologicznem. Skazana przez chorobę dziedziczną na śmierć, pozbawiona jest nadto wiary-pocieszycielki. Ból, egoizm i nienawiść rozwijają się w jej duszy na widok szczęścia i życia dokoła. Złorzeczy rodzicom, którzy ją na świat wydali: „Ojcze, matko! wyście pili z kielicha szczęścia, a moje spieczone usta nie dotkną go się nigdy!..“ Zadaje sobie ciągle straszne pytanie: Jak się to umiera? „Musi to być uczucie podobne, jak przy zemdleniu, ale musi też być i coś innego jeszcze. To „coś innego“ dreszczem mnie przejmuje i potem zimnym oblewa. Ja konam dziesięć razy na dzień.“ Doktór niemiec zachęca ją w następujący sposób do pogodzenia się z myślą niebytu: „Nie wierz ludzeniom; umrzesz! Ale nie patrz ze zgrozą w twarz wybawicielki, co cię od ciebie samej uwolni. Ze śmierci zrobiono straszydło na dzieci; a ja ci mówię, że zgon, to piękny młodzieniec o sennem obliczu, z pochodnią w ręku, strząsający iskry na mających umrzeć. Blada iskierka spadnie na ciebie i rozwiejesz się, rozpłyniesz w nieskończoności wszechświata. Pogrążysz się w niebycie... Umrze myśl najstraszniejsza, dręczycielka twoja.“ Ona jednak przed zgonem odzyskuje wiarę i przez nią skraca męczarnie duszy. Przezwyciężywszy żal, nienawiść i zazdrość dla swego narzeczonego i przyjaciółki, przeznacza im swój posag i umiera. Rzecz trochę pokrewna ze „Śmiercią“ Dąbrowskiego, ale bez podkładu fizyologicznego w tym stopniu, co u tego autora. Część druga p. t. „Maniak“ jest sylwetką człowieka, ktory stał się Harpagonem w pojęciu rodziny i znajomych; w rzeczywistości jednak przeznaczył cały swój majątek dla zaspokojenia jakiejś idei, dla której wyrzekł się szczęścia osobistego i swoją kochankę do grobu wpędził. W jaki sposób majątek uciułany ma uszczęśliwić społeczeństwo — autorka nie mówi.

Bernard Perez, *Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego*, przeł. R. D.

Autor wykazuje czynniki, z którymi należy się liczyć przy badaniu osobowości moralnej; określa zmiany, wywołane w najważniejszych objawach uczucia, umysłu i woli. Wykład ten uplastycznił kilkoma postaciami typowemi. Po ogólnej klasyfikacyi charakterów rozpatruje każdy zosobna i popiera je sylwetkami psychologicznemi (charaktery żywe, żywo-namiętne, namiętne, powolne, powolno-namiętne, zrównoważone). Dalej następuje wykład stosunku wesołości i smutku do innych głównych rysów charakteru, wzruszeniowych, umysłowych i chceniowych; stosunku odwagi i bojaźni do dobroci i nieżyczliwości, tudzież do głównych rysów charakteru (umysłowych i chceniowych), stosunku przychylności i nieżyczliwości do głównych postaci miłości własnej oraz do zasadniczych rysów umysłu i woli w charakterze. Dalej: rozbiór stosuuku głównych postaci miłości własnej do zasadniczych rysów umysłu i woli w charakterze i stosunku woli do głównych umysłowych rysów charakteru, wreszcie wzajemne stosunki umysłowych rysów charakteru. W traktowaniu stosunku płci tudzież zdrowia do charakteru autor zachował do pewnego stopnia oględność. Z jednej strony uważa, iż wielu pisarzów (szczególnie zadawalających się twierdzeniem bez dowodów), przeceniło wpływy tych czynników; z drugiej zaś — psychologia ogólna co do tych dwu drażliwych przedmiotów przedstawia jeszcze tylko hypotezy i dane nieokreślone. Książka Pereza wogóle zawiera dość obfity materyał do psychologii charakterów, który może być przydatny dla wychowawców.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Wystawa szkiców. W tak zwanym salonie artystycznym po usunięciu prac Andriollego, urządzono doroczną wystawę szkiców. Jest to zdawkowa moneta, którą nasi artyści obdarzają publiczność za pomocą pędzla i ołówka. P. Gerson dał duży obraz (naga kobieta z fletnią przy ustach, przysłonięta spadającą przez nią kaskadą) i cztery typy z bruku warszawskiego; P. Brodowski — scenę miłości byczo-krowiej, Żmurko — zbiór główek. Również główki umieściła p. Gażycka. Kostrzewski dał garść postaci i scenek humorystycznych. Między innymi wzięli udział pp. Andrychiewicz, Szyndler, Słupski, Kędzierski, Aichimowicz, Maleszewski, Gierszewski, Dąbrowski, Wastkowski, Gościmski, Wolski, Stankiewiczówna, Gurowska, Pieńkowska i Bogusławska. Wogóle wystawa pod względem ilościowym przedstawia się dość bogato, a prawdopodobnie jeszcze sporo szkiców przybędzie.

Konkurs architektoniczny. Wedle regulaminu wystaw corocznych konkursowych Tow. zach. szt. pięknych, w przyszłym miesiącu odbędzie się konkurs architektoniczny. Do tego popisu nadają się wszelkie kompozycye z zakresu budownictwa w szkicach, projektach, modelach tudzież fotografiach dzieł wykonanych. (Rysunki dopełniające i objaśniające główny przedmiot, mogą być przedstawione na małą skalę). Prace szkolne i akademickie będą wystawiane po za konkursem. Deklaracye pod adresem komitetu Towarzystwa należy przesyłać przed 15 grudnia, przy tem trzeba dołączyć treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wzmianką o tem, gdzie i kiedy się urodził, w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Dzieła powinny być dostarczone do kancelaryi Towarzystwa najpóźniej 30 grudnia do godz. 6-ej wieczorem. Przeznaczono trzy nagrody pieniężne: rs. 600, 300 i 200 za prace, mające istotną wartość artystyczną. Koszt transportu, z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła zostaną przyjęte przez cenzurę rządową i delegacyę sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo.

Album Kostrzewskiego. Zawiera ono wielkie bogactwo scen i typów, które w ciągu długiego szeregu lat wyszły z pod ołówka popularnego rysownika; nie obejmuje atoli książka owa wszystkich jego szkiców humorystycznych. Te wszakże, które ugrupowano w osobnem wydawnictwie, przedstawiają wielką rozmaitość, stanowią mieszaninę charakterystycznych postaci z różnych sfer społecznych na podkładzie szczerego humoru a miejscami i satyry.

Fantazye Flammariona. Rozgłośny astronom francuski, znużony studyami poważnemi, w ostatnich latach puścił wodze swej wyobraźni i rozsnuwa efektowne baśnie na obłokach nauki. Po *Uranii* napisał *Koniec świata*, którego przekład od paru miesięcy drukuje *Echo muzyczne*. W skończonej części pierwszej przedstawił obraz możliwych skutków zetknięcia się komety z ziemią, naszkicował kilka hypotez kataklizmu. Miało to nastąpić w XXV wieku. Ale na tle niesłychanie wybujałej wynalazczości ludzkiej i jej rezultatów, wobec różnorodnych aerokobów, zaludniających gęsto atmosferę i — doniesień fotofonicznych z Marsa przesyłanych ziemi, dziwnie jakoś się zarysowywa ustrój dzisiejszy, z którym Flammarion rozstać się nie może. Nawet wprowadza do swej powieści króla giełdy, który spekuluje na skończeniu świata, skupuje spadłe do minimum papiery wartościowe i zbiera miliardy za pośrednictwem rozsiewania w prasie mylnych wieści o katastrofie w Watykanie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Nasze zbrodnie *).

Umiejętność, rzucająca pożądane światło na tę wieczystą zagadkę, jaką stanowi człowiek ze swemi popędami i namiętnościami, leży dziś niemal w powiciu.

Budzące się w nauce prawa karnego nowe prądy wymagają przedewszystkiem zbadania biologicznych czynników, rodzących zbrodnię; ale również ważnem jest poznanie warunków społecznych sprawiających, że ona na widownię występuje jako choroba społeczna. „Walka przeciw zbrodni“—to hasło nowych kierunków nauki prawa, miałoby dopiero wtedy słuszne zastosowanie, gdyby państwo, ten grunt, na którym wyrastają chwasty grzechu, uprawiało starannie i zasiewało zdrowem ziarnem.

Dla socyologa nie istnieje właściwie zbrodniarz jako osobnik atomistyczny, nie istnieje zbrodnia jako pojęcie oderwane, lecz istnieje zjawisko życia społecznego, podlegające niezmiennym prawom, niestety nie dość jeszcze zbadanym. Pod wpływem teoryi, głoszącej ideę nieubłaganej przyczynowości w naturze, już Quetelet, stosując to prawo do czynności ludzkich doszedł do wyniku, że we wszelkich, nawet pozornie najdowolniejszych i przypadkowych objawach działalności przebija się pewna fizyczna i umysłowa prawidłowość, dostrzegalna w wielkich masach, że przestępstwa powtarzają się z największą regularnością tak pod względem stopnia i liczby, jako też rozdziału co do wieku i płci. Każde społeczeństwo nosi w sobie zaród wszelkich zbrodni popełnianych, a winny jest tylko narzędziem, za pomocą którego na jaw wychodzą.

Istnieje budżet, wypłacany z przerażającą ścisłością więzieniom, galerom i szafotowi, ale straszne widmo zbrodni nie jest, jak sądził Quetelet, popędem przyrodzonym, wobec którego wszelka walka jest bezskuteczną. Stała prawidłowość przestępstw jest wynikiem względnie stałych, a więc zmiennych stosunków społecznych.

Szkoła antropologiczna, głosząca ideę fatalizmu przestępczego, stawia w miejsce Queteletowskiego „loi physique“ prawo „saturazione criminosa“, według którego obok czynników indywidualnych społeczne wywołują też pewną oznaczoną sumę przestępstw w danem społeczeństwie. Dziś już wiadomo powszechnie, że każdy czyn zbrodniczy wzrósł na gruncie sobie właściwym. Moralna, umysłowa i ekonomiczna sfera otoczenia jest zarazem atmosferą hodującą ten zatruty owoc. Każdy czyn karygodny jest zarazem moralnem potępieniem społeczności, pośród której zrodził się. Obok winy osobniczej istnieje też społeczna, zbiorowa, a przestępca, ponoszący karę za swoje przewinienie pod względem moralnym, może być mniej winnym od tych, którzy zaniedbali jego wychowania lub wciągnęli go pośrednio w otchłań występku. Demoniczna zła wola, szalejąca w sercach ludzkich może być poskromioną. Nie ma fatalistycznego popędu do zbrodni, porywającego z piekielną siłą jednostki, nie ma przeznaczenia, któreby wymagało ślepej poddańczości, lecz są przyczyny zewnętrzne, kształtujące pobudki i podniety do czynów niedozwolonych.

*) Prof. uniw. Dr. Piotr Stebelski: *Ze statystyki przestępności Galicyi.* Lwów 1893.

Obok popędów i namiętności, mamy potężne wpływy zewnętrzne, rządzące człowiekiem i kierujące jego pozornie dowolnemi czynnościami.

Wpływy te rozmaicie oddziaływają na człowieka, w przeważnej jednak części są one chroniczne, to jest skutki ich dadzą się dostrzedz dopiero w długich okresach czasu, zwykle przemijają niespostrzeżenie, a niekiedy przybierają postać ostrą. Nieurodzaj, a z nim w parze idący głód spowodował np. w niektórych okolicach Galicyi wzrost przestępstw, skierowanych przeciw własności a głównie kradzieże. Ale byłoby to przesilenie chwilowe, i z ustaniem przyczyny wróciły stosunki normalne. Wogóle owe przyczyny, wpływające na powstanie przestępstw, są ściśle z sobą powiązane i stąd wykrycie jednej szczególnej przedstawia niemało trudności.

Jest to niezbitym pewnikiem, że najzwyklejszą podnietą do karygodnego czynu jest chęć zaspokojenia potrzeb. Tem się tłomaczy, że statystyka kryminalna wszystkich krajów wykazuje największy procent pogwałcenia cudzej własności, ma więc poniekąd słuszność Quetelet, twierdząc, że „kradzież towarzyszy człowiekowi niemal przez całe życie.“ Austrya wykazuje około 90% przestępców, nieposiadających żadnego majątku! Jeżeli pomimo opłakanego naszego położenia ekonomicznego, pomimo przeróżnych klęsk nawiedzających Galicyę, a rzucających naszą ludność w objęcia nędzy i ubóstwa, nie przodujemy innym krajom koronnym cyfrą udziału w najcięższych przewinieniach, zawdzięczamy to jedynie naszej niedźwiedziej skórze. Statystyka stwierdza wprawdzie postępujący ubytek czynów karygodnych najcięższej kategoryi, ale wykazuje natomiast wzrost przekroczeń lżejszych.

Zbrodnie w Galicyi wypełniają niemal $^1/_4$ część cyfry ogólnej, występki nieco wyżej od połowy, zaś przekroczenia dosięgają prawie $^1/_3$ części. Najkorzystniejszy stosunek przedstawia Galicya pod względem udziału w zbrodniach przeciw państwu, co świadczy, że jesteśmy bardzo lojalnymi.

Wogóle Austrya nie może użalać się na oporność naszej ludności, skoro w Niemczech ze 100 czynów karygodnych przypada na zbrodnie przeciw państwu i porządkowi publicznemu około 14%, kiedy u nas w stolicy kraju mamy tylko 1½%. Cyfra ta procentowa jest tam wyższą, im żywszy udział ludność bierze w życiu publicznem i im większą posiada świadomość swych praw politycznych. Dominujące stanowisko między wszystkimi krajami koronnymi zajęła Galicya udziałem swym w zbrodniach przeciw własności, a zwłaszcza w kradzieży.

Przodujemy innym prowincyom przerażającym udziałem w najwstrętniejszych zbrodniach, bo pochodzących z najniższych motywów, które nadały już typową postać naszej ludności. Psychologia zbrodni uczy, że osią środkową przeważnej ich części jest egoizm, występujący pod rozmaitemi formami. Chciwość, próżność, żądza posiadania — są tu sprężynami. Przestępstwa karane przez nasze sądy popełnione zostały z nędzy i niedostatku. Popęd samozachowawczy, wynikający z naszych stosunków ekonomicznych, jest przyczyną tych różnych wykroczeń, których winę ponosi społeczeństwo, nie postarawszy się o poprawę złego. (D. n.).

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XXIII.

26 sierpnia, Minneapolis Ma.

Jesteśmy w głównej sali giełdy miejscowej. Jakiś mówca, jeden z możnowładców kapitału, wita nas w imieniu miasta. Mowa jego znajduje się w najzupełniejszej zgodzie ze zwyczajami amerykańskimi. Opowiada nam o tem, czem ongi był Minneapolis, czem zaś jest obecnie. Przechwałki te rażą w pierwszej chwili nasze europejskie ucho. Rzecz naturalna! My w Europie nie mamy się tak bardzo czem poszczycić, chyba rozrostem militaryzmu, widmem nędzy i ciemnoty, upadkiem dzielności fizycznej. Wszystkie hymny, w rodzaju tych, jakie teraz rozlegają się w naszem uchu, byłyby lichem i niesmacznem, bo fałszywem i niezasłużonem pochlebstwem. Ale obywatel zamorskiej rzeczpospolitej jest w innem położeniu. Po amerykańskiej stronie Atlantyku samochwalstwo nie jest objawem czczej zarozumiałości, przystrajającej w fałszywe piórka swoją nicość, ale tylko niezręcznie wypowiedzianą świadomością poczucia istotnej mocy i wielkości. A Minneapolis ma być z czego dumnem! Giełda, która na nasze przyjęcie zawiesiła przez godzinę swoje czynności, jest największym na globie ziemskim pulsem handlu zbożowego. Rozumie się, mówca nie omieszkał podkreślić tej okoliczności, że wita nas w przybytku najzamożniejszych kapłanów Mamony zbożowej, wyliczył rozmiary potoku pszennego, jaki z dalekiego Zachodu wielu korytami wlewa się do miejscowych elewatorów i młynów, ażeby z tego zbiornika rozpłynąć się po szerokim świecie. Między innemi czyni on uwagę, która zaiste wygląda na ironię, że przedstawiciele tylu zakątków globu ziemskiego z przyjemnością przyjrzą się miastu, którego mąkę spożywają... Miliony, dziesiątki, setki milionów brzęczą w jego mowie, niby zasadniczy akord melodyi. Powitanie kończy nadzieją, że żaden z gości nie będzie czuł się obcym w murach Minneapolisu, powstało ono bowiem ze zmieszania najrozmaitszych ludów i we wzajemnem braterstwie widzi podwalinę swojej wielkości.

W sali tłumno, tak tłumno, że piersiom braknie powietrza. Pod ołówek cisną się różne szczegóły życia amerykańskiego, które do rozpaczy doprowadziłyby mandarynów etykiety. Ten i ów z pośród minneapolitańczyków wlazł na stół i stamtąd przypatruje się nam w kapeluszu na głowie. Inny, z takiej samej pozycyi, mierzy ku nam przyrządem fotograficznym; jeszcze inny zagląda w twarz przez plecy, patrzę — kreśli nasze karykatury, akurat jednemu z najbardziej poważnych członków naszej wyprawy, utyskującemu na szewckie maniery amerykanów, nadał rysy mało licujące z powagą, widocznie poczuł wroga kultury amerykańskiej. Do ucha dolatuje szczęk aparatu telegraficznego, który bezustanku działa — wszak giełda, lubo zawiesiła czynności, nie zna przecież przerwy, kiedy idzie o obieg jej soków. Swoboda zupełna. Nikt nie pyta, czy mu wolno być obecnym. Każdy tłoczy się, ciśnie przed oblicze mówcy, bierze nas za rękaw i maca materyał sukna lub rysuje twarze — bez pozwolenia. Oklaski przerywają mówcom, a brzmią one niekiedy bardzo dziwnie: ktoś, zdaje się, na znak radości naśladuje szczekanie.

Wreszcie przyjęcie skończyło się. Publiczność opuszcza salę, my zaś oglądamy stoły, pokryte próbkami giełdowemi zboża. Zamiast głosu mówcy, słychać inne dźwięki: agenci giełdowi wykrzykują kursy zbożowe i notują je na olbrzymiej tablicy. Elewatory zwożą nas na dół — jedziemy obejrzeć młyny, elewatory i tartaki.

* * *

Zwiedziliśmy największe młyny i tartaki — z nieufnością używam tych wyrazów, bo amerykańska rzeczywistość odbiegła tak daleko od wzorów europejskich, że „tartak“ może w wyobraźni czytelnika zrodzić całkiem inny obraz. Teraz odpoczywamy na dachu miejscowego „drapacza nieba“ i z niego przyglądamy się okolicy. Drapacz to skromnych rozmiarów — w porawnaniu z chicagoskimi, bo posiada zaledwie 14 pięter, ale jak na Minneapolis, jest olbrzymem. Płaski dach, otoczony balustradami, z obserwacyjną wieżyczką, wznoszącą się o piętro wyżej. Z jej wnętrza oko ogarnie daleki widnokrąg, pono w promieniu 25 mil angiel. Architektura miasta warta studyów. Bezpośrednio przed nami leży dzielnica handlu hurtowego i operacyi finansowych: olbrzymi zręb muru i granitu. Domy posiadają po wiele pięter, z pośród mozajki dachów gdzieniegdzie strzela do góry siedmiu lub dziesięciu piętrami jakiś gmach większy. Nieco dalej, w kierunku ku rzece, słupy dymu utworzyły szpetny obłok. To młyny parowe, obok nich zaś wznoszą się dziwnych kształtów budynki, elewatory zbożowe. Ale cała ta gromada kamiennych gmachów zajmuje bardzo niewielkie miejsca wśród przestworza, jakie ogarniamy okiem. Rychło kończy się ona i oko ślizgać się zaczyna po zielonym kobiercu łąk, przeskakuje ponad gajami, spada z pochyłością gruntu ku rzece, lecz wszędzie, wśród zielonej oprawy spotyka czerniejące i bielejące domki mieszkalne. I znowu odnosimy to samo wrażenie, jak w Saint Paulu — wrażenie parku z rozproszonemi w nim siedzibami ludzkiemi. Minneapolis posiada zaledwie 200 tys. mieszkańców, a jednak przestrzeń pod nim jest większą, niż Warszawy. Ludność ma obfitość czystego powietrza, dziatwa — pod dostatkiem trawników do swawoli, przechodnie — cień na ulicy.

Sądzę, że S. Paul i Minneapolis są wzorami rdzennie amerykańskich miast, bo Chicago a tem bardziej New-York przerosły miarę, a nadto zgarnęły do siebie zbyt wiele ubóstwa europejskiego. Amerykanin uważa je za wrzody pauperyzmu na ciele swojego kraju. Miasto amerykańskie to olbrzym, który nie pozbył się charakteru wioskowego. Członki jego nie posiadają spójności, ulice ze zwartego rzędu arteryj kamiennych przekształciły się na rozproszone wśród zieloności pojedyncze domki. Jedynie główne narządy organizmu miejskiego: kantory handlowe zbiegły się do gromady iześrodkowały, niby serce rozproszonego tułowia. Ale życie zbiorowe nie zwalnia swego tempa, rozproszone członki zostały połączone za pomocą telefonów i telegrafów, powozowych i elektrycznych tramwajów. A im dalej ku Zachodowi, tem nerwy te odgrywają większą rolę, rozproszenie zaś przybiera potworniejsze rozmiary. Granica pomiędzy miastem a wsią zaciera się.

L. K.

LIBERUM VETO.

Zwrot do ziemi. — Projekty. — Doświadczenia i zawody. — Nasza dwoistość. — Rada p. Śniegowskiego. — Co obiecuje i dać może praca produkcyjna. — Wyprawa na kalendarze. — Zdemaskowani i zamaskowani. — Protest p. Siemiradzkiego. — Doświadczenia z Eusapią i najmniejszy z jej cudów.

Z chwilą, gdy przypomnieliśmy sobie, że istnieje ziemia, ten największy a wielce przez nas zaniedbany warsztat pracy, przy którym jeszcze miliony rąk mogą znaleźć zajęcie, zaczęły się rodzić i wyfruwać z łamów prasy najrozmaitsze projekty, jak motyle, które pobłyskawszy przez kilka dni barwami swych skrzydeł, zamierały. Kolejno widzieliśmy źródła szczęścia i dobrobytu: w uprawie cykoryi, chmielu, warzyw, kwiatów, drzew owocowych, morw jedwabniczych, jagód, pieczarek, nasion pastewnych, kukurydzy, roślin aptekarskich itp. Apostołowie nowych rad i zadań wykazywali zawsze, że

kraj nasz mógłby wszystkie te artykuły wytwarzać na własne potrzeby i wywóz, że dotąd sprowadza je masami z zagranicy, że jej płaci miliony, które zdołałby przy umiejętnem gospodarstwie zachować, że nareszcie spożytkowana na te cele ziemia dałaby korzystną i szlachetną pracę niezliczonym rękom, żebrzącym daremnie o mizerne zatrudnienia w biurach i kantorach. Rezultatem każdej takiej morwowej lub porzeczkowej misyi było, że ten i ów zaczął u siebie sadzić morwy lub porzeczki, a nie zrobiwszy na nich majątku w ciągu paru lat lub nawet miesięcy, zarzucał „niewdzięczną“ hodowlę i „doświadczonym“ głosem ostrzegał przed nią innych, ażeby nie dali się uwieść „mrzonkom.“ Mimo tych przekonywających, bo na praktyce opartych dowodzeń, nie przestawało być dla ludzi cokolwiek rozumnych dziwnem: dlaczego te same przedsięwzięcia, które w podobnych warunkach ziemi i klimatu udają się tuż za naszą miedzą niemcom, nie udają się nam? Żadne inne przypuszczenie nie tłomaczyło zagadki, oprócz tej jednej, że nad naszym krajem zawisła jakaś klątwa, która sprawia, że podczas gdy na sąsiednim Szlązku agrest przynosi hodowcom znakomite korzyści z jagód, nas rani tylko swymi kolcami. Fatalizmowi, tkwiącemu w naszej naturze nie chcieliśmy dać wiary i woleliśmy całą winę zwalić na ziemię, klimat i... klątwę. Wprawdzie zdarzające się od czasu do czasu odkrywanie nowych światów o 5 lub 10 mil oddalonych, w których ktoś doprowadził kulturę czegoś do wysokiego stopnia nawet bez pomocy niemca lub francuza, zastanawiało nas i podrywało nam pogląd na swojską ziemię, klimat i klątwę, ale wkrótce zszywaliśmy popprutą filozofię zbawienia w pszenicy i życie niezawodnym argumentem: wielka rzecz, wsadzić w ziemię rubla i doczekać się kopiejki!

Chociaż argument ten w niejednym wypadku nas rozgrzeszył, jednakże nie uleczył z dwuosobowości. Pozostajemy nadal ludźmi, którzy twierdzą, że tego lub owego robić nie warto, gdyż się nie opłaci, a zarazem czują, że to lub owo robić trzeba. Jest to stan, w którym nieudolność posiada zbyt mało sił, ażeby się na coś zdobyć, ambicya zaś zbyt wiele, ażeby się z bezczynnością i ubóstwem pogodzić mogła. Więc projektujemy — czasem mniej, czasem więcej. Obecnie dość dużo. Obok najwytrwalszego i najpomysłowszego doradcy, p. Jankowskiego, występują inni „brukarze piekła“ ze swemi dobremi chęciami. Świeżo p. A. Śniegocki (w *Kur. warsz*) zadzwonił na uprawę nasion marchwi i buraków pastewnych, które również sprowadzamy z zagranicy (co my byśmy zrobili bez tej karmicielki!) a moglibyśmy hodować sami. Wyznam otwarcie, że zarówno w tej sprawie, jak w innych, dotyczących rolnictwa lub ogrodownictwa, nie uważam się za biegłego, mogącego z zupełnem znawstwem orzekać, co ziemia nasza rodzić zdolna; sądzę jednak, że jeżeli specyaliści poręczają nam tę jej zdolność w jakimś wypadku, powinniśmy im wierzyć. Zresztą nie chodzi mi o to, ażebym moich czytelników nakłonił do uprawy nasion buraczanych lub mięty, lecz o powtórzenie jeszcze raz nacisku na potrzebę zwrócenia się ku zaniedbanym niwom pracy produkcyjnej. W niej bowiem widzę nietylko korzyści materyalne dla społeczeństwa, ale i moralne. My dotąd, o ile nie zjadamy majątku ojców naszych, zbyt wielki objawiamy pochop do służby, wszelka zaś służba mniej lub więcej tłumi indywidualność człowieka, gwałci jego przekonania i uczucia, przerabia go na futerał cudzych myśli i zasad. Porównajcie ogrodnika na 10 morgach z oficyalistą kantoru bankierskiego. Pierwszy jest człowiekiem niezależnym, który ma własne poglądy, dążenia, cele, który wierzy w to, w co istotnie wierzy i kocha to, co istotnie kocha. Drugi, jeżeli chce stać mocno na swem stanowisku, jest gliną w ręku swego pryncypała, z której on dziś ulepi psa, a jutro wołu. A gdy nawet taki oficyalista ratuje swoją indywidualność, to musi ją nakryć dziesięcioma korcami i rozdzierać się ustawicznie między „obowiązkiem“ a prawdą swego umysłu, serca i sumienia. Zrujnowana i wydziedziczona szlachta, która zaciągnęła się do służby w rozmaitych kantorach i biurach, uczuwa najlepiej tę różnicę i może mniej żałuje utraty koni cugowych i kucharzów, niż niezależności. Ci sami panowie woleliby dziś jeździć skromnemi bryczkami i jeść obiady przyrządzane przez nich samych na maszynkach benzynowych, niż pobierać 1,000 lub 2,000 rs. w spełnianiu cudzych rozkazów. Więc po co naiwni ojcowie przygotowywujecie dwóch synów do zajmowania „posadek“? Dlaczego nie kształcicie ich do pracy, która im pozwoli nietylko wyżyć, ale ocalić siebie samych? Rzecz dziwna, nie słyszałem, ażeby jakikolwiek obywatel ziemski podzielił swój folwark między synów i rzekł im: ty dostaniesz trzy włóki i będziesz uprawiał nasiona buraków pastewnych, ty trzy — i będziesz uprawiał nasiona traw, ty trzy — i będziesz hodował agrest itd. Za 15 lat byliby zamożnymi fermerami, a dziś? Jeden obejmuje cały folwark i spłaca innych pieniędzmi, czerpanymi z kieszeni Icków i Srulów, dzięki którym za lat kilka zaczyna się starać o posadę na kolei lub przy tramwajach.

Tak przywykliśmy do tego, że pisma warszawskie, z których każde ma nietylko własny „sztandar“ (często ze starego dywana lub ornatu), ale nawet własne przedmioty pochwały lub nagany, zamilczają o wszelkiem nadużyciu, dostrzeżonem przez inne, że nas zdziwiła wyprawa kilku dzienników na kalendarze, w których niedawno uwydatniliśmy męty brzydkich geszeftów. *Kuryer warsz.*, wykazawszy błędy informacyjne w kalendarzu Ungra, przyznał wraz z nami, że są to „roczniki wydawane niemal wyłącznie dla ogłoszeń“ i że „w nich „musi zajść przełom stanowczy.“ *Kuryer codzienny* strzelił jeszcze mocniejszym ładunkiem. Według niego „większa część naszych kalendarzów obraca się w kole szwindlu,“ „należy raz oświetlić tę ciemną sprawę,“ a nadewszystko „otworzyć oczy kupcom,“ łapanym na obietnicę rozpowszechniania ich ogłoszeń w dziesiątkach tysięcy egzemplarzów, które po prostu nie istnieją. Zdawałoby się, że *Kuryer codz.* powziąwszy tak szlachetny zamiar, „otworzy oczy kupcom“ i wskaże „szwindlarzów,“ zwłaszcza że ich „zna z nazwiska,“ a same „fakty z detalami.“ Tymczasem — nic! Ma on bowiem nadzieję, że „sami kupcy ogłędniej i nie tak pochopnie ofiarowywać będą swe anonse.“ Jest to nasza sławna odwaga publicystyczna, polegająca na tem, ażeby nigdy nie odsłonić nadużycia całkowicie, ale pokazać — jak mówi piosnka ludowa — „chyćko—tyćko.“ Nieraz już winowajca siedzi w kozie, a nasze dzienniki jeszcze mu kładą maskę na twarz i piszą: „wczoraj B. K. został złapany przy otwieraniu kasy ogniotrwałej w zarządzie dóbr C.; śledztwo w toku.“ Jesteś, czytelniku, kupcem i dzięki „oświetleniu sprawy“ kalendarzów i „otworzeniu ci oczu,“ chcesz rozpoznać w agencie ogłoszeniowym wysłannika szwindlu. Oglądasz go na wszystkie strony, badasz wytrzymałość jego spojrzenia, wreszcie pytasz: — Więc pan zbierasz ogłoszenia dla „Kalendarza potrzebnego“? — Tak. — A kto go wydaje? — Pan Rublewicz. — Kto to taki? — Poważny literat i kapitalista. — A ile drukujecie egzemplarzy? — Pięć tysięcy. — Nieprawda! — Niech pan sprawdzi w drukarni. I tak dalej. Po tych objaśnieniach będziesz równie mądry, jak przedtem, a jeżeli chcesz być „ogłędnym,“ musisz rozpocząć śledztwo, dotyczące p. Rublewicza i jego wydawnictwa. Czy to jest wykonalne? Co więcej, zdarzyć się może, że ów p. Rublewicz, o którym nikt nie da dobrej „referencyi,“ zasługuje na większe zaufanie, niż wydawcy oddawna znani. Mnie się zdaje, że o ile nie istnieje zupełna rękojmia sumienności firmy, najkorzystniejszą i najbezpieczniejszą drogą dla kupca jest odmawianie ogłoszeń wszelkim kalendarzom.

Jeszcze raz przekonaliśmy się, jakie to złudzenie sprawia góra. Zdala wydaje nam się, że mógłby na nią wskoczyć kozioł, tymczasem zbliżywszy się do niej, widzimy, że ona „niebo czołem swojem bodzie.“ Pod wpływem tego złudzenia mniemano, że szkole malarskiej, której przewodniczył Matejko, mógłby również przewodniczyć p. Siemiradzki i skutkiem tego posunięto się w kilku pismach aż do śmiałego przypuszczenia, że on „stara się“ o to stanowisko. List głośnego akademika w *Kuryerze warsz.* przywrócił naiwnym rozum, a raczej pojęcie miary. „Uważam za właściwe oświadczyć niniejszem — pisze p. Siemiradzki — iż dotychczas żadnych w tym względzie *propozycyj* nie otrzymałem, a o *żadnem* „staraniu się“ z mojej strony mowy być *nie mogło i nie może*.“ Oto jak przemawia góra, która „niebo czołem bodzie.“ Naturalnie twórcy fałszywej wieści nie mieli na myśli, ażeby p. S. tak „starał się“ o dyrektorstwo szkoły malarskiej, jak to czynią biedacy, ogłaszający w pismach, że ofiarują 100 rs. za wyrobienie posady, ale on uważał za obrazę dla siebie nawet przypuszczenie, że objawił gotowość przyjęcia stanowiska, zanim zrobiono mu „propozycyę.“

Z p. Siemiradzkim przyjechała do Warszawy Eusapia Paladino, którą morduje w głębokiej tajemnicy komisya, zebrana przez p. Ochorowicza. „Protokóły“ posiedzeń nie są dotąd ogłaszane, tylko dzienniki otrzymują krótkie biuletyny. Z uznaniem dla świeżo odkrytych praw i zjawisk, które odeślą naszą wiedzę dotychczasową do zakładu nieuleczalnych kalek, wstrzymujemy się, dopóki nowa ewangelia nie zostanie nam objawioną. Tymczasem sprostujemy tylko błędne mniemanie o inteligencyi pani Eusapii. Ogłoszono ją za zupełnie ograniczoną, nieumiejącą nawet czytać. Z pierwszego zaś biuletynu, wydrukowanego w *Kuryerze warsz.*, okazuje się, że ona dosyć dobrze zna ruch naukowy, wywołany swoimi cudami, a w szczególności stanowisko wobec nich p. Ochorowicza. Tak np. przewiduje, że mu przeciwnicy wierzyć nie będą, że on nie będzie odpowiadał na zarzuty itd. Nie ma w tem nic dziwnego. Jeżeli sama myśl o „Johnie,“ przeszedłszy z głowy pana O. do jej głowy, sprawia, że „John“ tworzy się jako postać realna i urządza wszystkie figle ze stołami i stołkami, to czemuż cała wiedza hypnotyczno-magnetyczno-mediumiczno-spirytystyczna p. O. wraz z poglądami na oponentów nie miała się przelać do mózgu Eusapii? Po tylu cudach ten byłby jeszcze najmniejszy.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Pani filantropia. Z Warszawy, tej przodowniczki w wyciskaniu wszelkich źródeł miłosierdzia ludzkiego, ruch filantropijny rozszerza się na daleką prowincyę, sięga do zaścianków, kołacze przedewszystkiem do tych pań, które mają dużo czasu, pieniędzy i próżności. Łódź urządziła „bazar“, tj. taką postać dobroczynności, która pozwala kupcom dobrze się zareklamować, a damom siadywać po kilka godzin dziennie w sklepie, przyglądać się sprzedawaniu towarów przez subjektów, śledzić publiczność kupującą i obliczać jakiś niewielki rabat na rzecz ubóstwa. Trzeba mieć

dużo, bardzo dużo czasu, ażeby się poświęcić takiemu zadaniu. Ale oprócz tego kwiatka filantropii, rozwinęło się już kilka innych odmian: w Radomiu, Lublinie, Łodzi, Piotrkowie, Częstochowie itd. zapowiedziano, a nawet już urządzono mnóstwo balów, koncertów, przedstawień amatorskich z szeregiem niespodzianek i przyjnęt. Jesteśmy bardzo miłosierni; bo proszę tylko zważyć: kupić żonie i córkom nowe suknie na bal lub stroje kostiumowe do gry amatorskiej, po uciążliwej pracy biurowej poświęcić noc całą, wystawić weksel i być potem długo ściganym przez lichwiarza, czy to niewielka ofiara dla dobra publicznego? Niosą ją wszyscy — ubodzy i zamożni, młodzi i starzy. Podobno tu i owdzie probowano mniej kłopotliwego i kosztownego sposobu: garstka osób „z towarzystwa“ podejmowała się „chodzić po kweście“ i... miejscami znalazła drzwi zamknięte, miejscami parę ostrych słów posłyszała. Tych dróg sama filantropia nie lubi. Ona jest znawczynią dusz ludzkich, stara się im przypodobać i ich słabostki wyzyskać, więc się ubiera w suknię balową, czapkę błazeńską lub płaszcz poliszynela, wciska się na posadzkę i estradę: „Bawcie się! — szepcze do ucha ochotnikom — a mnie dajcie na herbatę i zupę rumfordzką. Wolę z wami iść na każdą zabawę, bo gdybym nie poszła, niebym nie dostała, a wy i bezemnie bawilibyście się wybornie.“ Ten bodziec większe robi cuda, niż laska Aarona, bo pod jego uderzeniem wytryskują źródła taniej herbaty i ciepłej strawy z piersi śpiewaka, lub aktora z palców wirtuoza i nóg tancerzy. Prócz instytucyi dla pokrzepienia żołądków nędzarzy, wyrastają domy pracy. Wkrótce na wzór warszawskiego, powstaną one w kilku miastach prowincyonalnych; tam się zgromadzi ubóstwo nieprodukcyjne, wysysające jałmużnę, i ręce swoje rozgrzawszy w ciepłem schronieniu, wytwarzać będzie słomianki, koszyki, pudełka i inne przedmioty, wedle sił i możności.

Wielkim byłby filantropem, ktoby się postarał o założenie jakiego domu pracy dla aktorów prowincyonalnych. Od miasta do miasta podąża ta gromada rozbitków społecznych, wynajmuje budy i daje przedstawienia w Lublinie, Radomiu, Kaliszu, Kielcach, Częstochowie; nie gardzi nawet zapadłemi mieścinami, byle się dało na prędce teatr urządzić w jakiej bądź szopie. Wobec tej wiecznej nędzy i głodu, braku kąta i odzieży ciepłej, podziwiać trzeba wytrwałość i zamiłowanie zawodu u tych ludzi, a nawet niekiedy ich humor i gęste miny.

Radom. Opracowano tu ustawę kasy pogrzebowej i przesłano już władzy właściwej do zatwierdzenia. Nowa instytucya posiadać będzie trzy oddziały (po 81 osób), w których składki wynosić mają po rs. 5, 3 i 1. Po śmierci stowarzyszonego rodzina otrzyma na pogrzeb kwotę odpowiednią wysokości składki. W razie gdyby liczba uczestników przekroczyła oznaczoną normę (81), otwierane będą pododdziały. Zasady kasy obmyślano na wzór istniejącej w Porchowie (gub. pskowska).

Radom wzbogaca się w księgarnie; obecnie powstaje nowa z czytelnią. Bezpłatna czytelnia dla rzemieślników rozwija się ciągle. Czy atoli księgarnie będą miały powodzenie, jeżeli warszawskie skarżą się na zastój i ciężkie czasy? W każdym razie nowemu przedsiębiorcy trzeba powinszować odwagi, a redaktorowi *Gazety radomskiej* — wytrwałości. Pismo to w ostatnich czasach podniosło się i rozwinęło do tego stopnia, że można je dziś uważać za najlepsze z prowincyonalnych. Zyskało ono współpracowników warszawskich w działach ekonomicznym, społecznym, literackim i artystycznym. Wbrew protekcyjnie narzucanym wskazówkom przez mentorów z pism wielkich, trzyma się ono własnej drogi: nie zajmuje się wyłącznie swojem miastem, lecz i po szerszym świecie się rozgląda. Jest to całkiem słuszna zasada. Minęły te czasy, kiedy dana prowincya sama dla siebie wystarczała; dziś najbardziej ukryty kącik jest cząstką składową życia powszechnego. Jeżeli np. pismo zaznacza spadek cen zboża i podrożenie siana tylko w swej okolicy, a nie szuka podobnych objawów i przyczyn dalej, jego czytelnik łatwo może popełniać omyłki. Na takie proste zjawiska ekonomiczne (a jest ich mnóstwo) doradcy nie zwracają uwagi i gromią organ prowincyonalny za to, że śmie nos swój wytykać po za granice własnego partykularza.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ważna ulga. Zjazd ogólny przedstawicieli kolejowych, odbywający się obecnie w Petersburgu, uchwalił (za inicyatywą ministeryum dóbr państwa) bardzo ważną ulgę dla rolników. Gospodarstwa, składy ziemskie i magazyny nasion otrzymają prawo przewozu corocznie w ciągu jednego miesiąca (pomiędzy 20 lipca a 20 sierpnia st. s.) zboża na zasiew w ilości 20—30 pudów za jednym listem frachtowym pociągami pośpiesznymi za opłatą frachtu zwyczajnego. Udogodnienie to będzie także stosowane do nasion, sprowadzanych w tym czasie z zagranicy. Uchwała ta powstała na skutek licznych skarg i wyjaśnień, że wobec krótkiego czasu, oddzielającego żniwo od siewu, ziarno sprowadzane przez rolników na zasiew, dla poprawy gatunku zboża, dla doświadczeń itd., nieraz z powodu wysyłania pociągami towarowymi, przybywa zbyt późno na miejsce przeznaczenia, oczywiście ze stratą i zawodem dla odbiorców. Szczególnie na przestrzeniach większych, gdzie się wiąże kilka linij kolejowych, transporty takie z powodu kilkakrotnego przeładunku i innych przyczyn, idą po parę tygodni. Wysokość zaś frachtu pośpiesznego jest tak znaczna, że nieraz koszt przewozu przewyższyłby wartość towaru. Przedstawiciele kolei jednogłośnie się zgodzili na ulgi żądane z tem zastrzeżeniem, iż dla uniknięcia nadużyć, do każdej tego rodzaju przesyłki powinno być dołączone świadectwo o właściwem przeznaczeniu ziarna. Dowody takie mają być wydawane przez Towarzystwa rolnicze, ziemstwa i inne instytucye pokrewne.

Towarzystwo gorzelników. Zebranie ogólne akcyonaryuszów warszawskiego stowarzyszenia gorzelników wykazało za rok ostatni pomyślniejszy stan interesów. niż w latach ubiegłych. Najbardziej obarczający dział oczyszczania, nie tylko nie naraził na straty lecz nawet przyniósł znaczne zyski. Podobno wpłynęło na to wprowadzenie specyalisty istotnie znającego się na rzeczy. Głównem ogniskiem wywozu jest Hamburg, gdzie Towarzystwo, obok innych współzawodników, zdołało wyrobić sobie trwałe stanowisko. Jednocześnie ważną rolę odgrywa rynek petersburski, gdzie powstanie własna stała agentura gorzelników stowarzyszonych. W planie dalszych działań zaznaczono punkt ważny: uregulowanie cen spirytusu na rynku warszawskim. Zarząd liczy tu na poparcie wszystkich wytwórców. Wreszcie Towarzystwo stara się rozszerzyć zakres zbytu produktów surowych i przerobionych, ku czemu dopomogą hurtowne składy i magazyny. Na uwagę i uznanie zasługuje podany na posiedzeniu wniosek założenia kasy przezorności i pomocy dla urzędników i oficyalistów Towarzystwa. Składka uczestników ma wynosić 6% od pensyi tudzież 10% od gratyfikacyi, ze strony pracodawców i pracowników. Towarzystwo na ten cel ma dopłacać ogółem 1500 rs. rocznie. Zaznaczamy w końcu wielce charakterystyczny szczegół: jeden z akcyonaryuszów, p. Łubieński, podniecony widocznie żądzą zdobycia wysokiej dywidendy, domagał się zmniejszenia płacy pracownikom. Na szczęście dla tych ostatnich, a na zmartwienie dla chciwego akcyonaryusza, żądania jego nie uwzględniono.

O PRAWDĘ.

JESZCZE O „DJABŁA W POEZYI.“

(Odpowiedź p. Matuszewskiemu).

Nie dla ułatwienia poglądom moim zgody z poglądami p. Matuszewskiego zabieram powtórnie głos w sprawie jego cennego *Djabła*, lecz dla usprawiedliwienia i stwierdzenia swych zarzutów. Co prawda, nie przyznam się do „uporu“ bezwzględnego, jak to czyni szanowny kolega i nie powiem, że cudzego zdania wypieram się raz *na zawsze*, bo mię dużo *faktów* (a między niemi choćby zjawiska t. z. spirytyzmu, oglądane własnemi oczyma) przekonało, że nie dobrze jest przysięgać dozgonną wierność teoryom... Chętnie więc uznałbym swoje rozwiązanie zagadki djabła w poezyi za mylne, ale jak na nieszczęście czy też szczęście, dowody p. Matuszewskiego, zamiast obalać, dziwnie umacniają moją hypotezę.

Idźmy koleją. *a.* Prawo związku djabła dodatniego z analizą w dziejach sprawdza się w sposób uderzający i na Byronie i na Miltonie, *Kain* pierwszego tak jest najeżony zuchwałą krytyką Jehowy, że aż należało złagodzić ją uczynioną na żądanie wydawcy przedmową, a kolega Matuszewski widzi w niej osłabienie prometejskiego charakteru Lucyfera. Sądzę, że obadwaj wiemy dobrze, co znaczą „przedmowy“ i na nich ja przynajmniej żadnego dowodzenia bym nie opierał, bo stąd mogłyby w danym przypadku wyniknąć zabawne *lapsusy*. Proszę po *Kainie* wziąć do rąk *Niebo i ziemię* i posłuchać, jak woła lud na widok fal potopu: to bluźnierstwo chyba najśmielsze ze wszystkich znanych w poezyi. A jeśli i to nie wystarcza — proszę zajrzeć do *Don Juana*, a znajdzie się tam i zupełny *cynizm nihilisty*, ale nie *deizm*.

A Milton? Tak „pełen głębokiej wiary purytanin,“ „śmiałby strącać Jehowę z wyżyn doskonałości“? Byłoby to wedle kol. Mat. „hypoteza co najmniej zbyt ryzykowna.“

Niestety! Zgodnie ze zbawienną dewizą jego, biorę w rachunek *fakta*, czyli innemi słowy otwieram *Raj utracony* i oto co się okazuje. Szatan oskarża wprost Jehowę, że mógł nie zsyłać pokusy na Adama a jednak zesłał ją (zupełnie ten sam zarzut czyni Kain i Lucyfer u Byrona) i powtóre *odmawia Bogu daru jasnowidzenia* i ma go za prześladowcę, który umyślnie drażni, ażeby módz tem srożej karcić (księga III). No, to chyba równa się ściąganiu go z wyżyn doskonałości — nieprawdaż? Proszę nadto przeczytać wstęp do *Prometeusza rozkutego* Shelleya — porównywa się tam Miltonowskiego Szatana do Jehowy i wynik tego zestawienia okrutnie jest pochlebny dla demona, no, ale to tak pochlebny, że nierozumiem, jak znowu wydawca Shelleya nie żądał odpowiedniej przedmowy. Wreszcie sama owa „głęboka wiara“ Miltona wygląda w rzeczy samej bardzo mitycznie. Zawzięty wróg komentarzy narzuconych, namiętny stronnik czystej Biblii, żarliwy czciciel *rozumu*, *analizy* i *krytyki* (porów. *Areopagitica*, *Doktryna rozwodu* (którego broni z fanatyzmem liberała nie przejednanego) *Obrazoburca* i inne), miał religię ale... dla siebie mniej.

A jeśli te *najgłówniejsze* z dodatnich typów *podchodzą* (kol. Mat. mówi: jeśli one *nie* podchodzą) pod cytowane wyżej prawo, to *jest* ono prawem (kol. Mat. mówi: *nie* jest).

b. Przechodzę do poezyi zaeuropejskiej. Jeżeli owo moje prawo (związku analizy z istnieniem djabła dodatniego) ma być powszechnem, tedy napotkać winniśmy je wszędzie, a więc i w Indyach, przedewszy-

stkiem w Indyach, tym, jak słusznie mówi kolega Matuszewski, klasycznym kraju pesymizmu.

Po pierwsze, tam nie „wszystko oddycha pesymizmem“ i nie poddawajmy się zbytnio wpływowi Schopenhauera, któremu musi na spotęgowaniu owej czarnoty zależeć, i nie zapominajmy o różnicy między braminizmem a budyzmem. Pierwszy kończy dramat niedoli zbawieniem, zlaniem się z duchem powszechnym Brahmy i tym sposobem unicestwia ból i nagradza go bytem nawskroś pożądanym (por. Maksa Müllera *Szkice*, także *History of Ancient Sanskrit literature*, London 1860, również rozprawę *Beiträge zur Kenntniss der indischen Philosophie* i inne).

Ale jakże indusowie mogli wytworzyć djabła, kiedy nie stworzyli Boga? Gdzie metafizyka jest nawskroś dyalektyczna, gdzie drogą przemian (awatarów) jeden żywioł świata może przechodzić w drugi, i niema określonej potęgi dodatniej, tam nie może być i jej *przeciwstawienia*. Toć sam p. Matusz. słusznie dowodzi, że tam „z niesłychaną konsekwencyą przeprowadzoną została zasadnicza *tożsamość dobra i zła*.“ Jakże tu więc może powstać potężny djabeł, skoro nie ma stałej biegunowości pojęć? skoro nie ma *wogóle* „miejsca na zło bezwzględne i jego personifikacye,“ wedle słów szan. mego przeciwnika. Ja wprawdzie utrzymuję, że djabeł dodatni wyrasta na gruncie pesymizmu, ale nie twierdzę bynajmniej, że *każdy* grunt taki musi go zrodzić. Brzoza lubi grunta mokre, a sosna suche, czy stąd wypływa, że każdy sap wyda brzozę, a każdy piasek choinę? Sądzę, że trzeba do tego jeszcze innych warunków. Tych dopełniających warunków Indye nie miały, bo nie miały religii poetyckiej, lecz filozoficzną, której jeno forma była poetycka; zupełnie tak samo, jak metempsychoza u Pythagorasa, lub istota rzeczy u Lucretiusa (*De rerum natura*). Azaliż to uchybia prawu ciężkości, że nie spada deszcz z chmury, która się jeszcze — nie skropliła? Jeżeliby tak miało być, to stokroć lepiej dla pięknej książki kol. Matuszewskiego, że żadnego prawa nie podał.

Tam za to, gdzie mitologia była dobrze ustalona i rolę bóstw raz na zawsze rozdane, jak w Grecyi, i gdzie nie brakło analizy, rozkładającej wiarę w porządek i sprawiedliwość świata, gdzie byli cynicy, stoicy i cyrenaicy, jak Hegesiasz, namawiający do samobójstwa (peisthanatos — możnaby go nazwać Hartmanem Hellady, gdyby niesmaczny twórca Zasady Bezwiednej na taki zaszczyt zasługiwał). tam byli i bogobórcy-tytani i Prometeusz (pyroforos=ognionośca=lucifer), przodek w prostej linii dodatnich demonów Miltona i Byrona (Taine stale porównywa „Raj utracony“ do *Prometeusza* Eschylowego).

c. Wreszcie co do poezyi perskiej. Ona ma podważać zasadę moją w sposób całkiem odwrotny —bo mimo swój optymizm stworzyła *właśnie* demona dodatniego — w osobie Arymana.

Użyję swojego własnego okrzyku: to chyba nieporozumienie! Aryman — demonem dodatnim? On, co (pod przezwiskiem Iblis) swemi całunkami rodzi węże, chce zgładzić plemię człowiecze ze świata, karmi węże świeżymi mózgami ludzkimi, ma się nazywać demonem dodatnim?? (w *Manfredzie* Byrona występuje wprost jak zbir, kat, władca piekieł). Kol. Matuszewski zebrał taką masę ciekawego istotnie materyału, że się na chwilę sam w tym labiryncie zaplątał, boć on sam na str. 20 miesza Arymana z błotem, gdy mówi, że „jest złym z natury, a nie został nim dopiero przez upadek,“ i że niczem nie przypomina europejskich typów upadłego archanioła, mających szlachetne pochodzenie.

Wobec tego wszystkiego sądzę, że kol. M. raczej umocnił moją zasadę i jeślim na razie po napisaniu swojego sprawozdania żałował jej pochopności — dzisiaj z rozkoszą widzę, że miałem więcej racyi, niż sądziłem.

A teraz o sprawie całkiem innej. Twierdzenie moje, że protestantyzm jest mniej dualistyczny, niż katolicyzm, dotyczy nie religii, o którą ani kol. Mat., ani mnie w danym wypadku chodzić nie mogło, lecz metafizyki. tkwiącej w zasadzie obu wyznań. Katolicyzm rozdzielił nieprzebytą przepaścią ducha od ciała, siłę od materyi i do tego celu nagiął scholastycznie całą naukę Platona i Arystotelesa. Reforma zaś przywróciła między nimi zgodę. przywróciła straconą godność ciału i jego prawom, a w osobie Lutra zadała śmiertelny cios ascetyzmowi. Luter — jak pięknie się wyraża Michelet (*Histoire de France*, tom III), było to „zerwanie się w ranek majowy, o czwartej godzinie“; ze swą muzyką, ciepłem ogniska domowego, miłością ludu, książek, pisma — zaznaczył on sobą zorzę monizmu, który nic wspólnego nie miał z kwestyą *sankcyi* religijnej i doskonale mógł znosić obok siebie nawet prześladowania inkwizycyjne za niewiarę lub stosunki z dyabłem. Monizm ten w dodatku promieniał cały *wolą jedynego Boga* („Gott ist meine feste Burg“), jako jedynem źródłem praw moralnych. Jest to połączenie Jehowizmu z odrodzonym przez Melanchtona Arystotelesem, z którym pod wpływem swego ucznia i współbojownika przejednał się w końcu i sam Luter (por. Melanchtona traktat o etyce Nikomachtejskiej: *Ethicae doctrinae elementa et enarratio libri quinti ethicorum*).

I naodwrót, nie osłabia wcale charakteru dualistycznego w katolicyzmie, że ułatwiał grzesznikom zbawienie. Budowa *Komedyi Boskiej* cudnie uplastycznia piękną jednolitą budowę *sankcyi* katolickiej, ale zarazem i uwydatnia dualizm metafizyczny. Pomieszczenie mędrców i bohaterów greckich i rzymskich, nie wyłączając Katona, w jednym, wprawdzie łagodnym okręgu *Piekła*, za to, że byli poganami, czy nie ilustruje tego wymownie? Gdy tymczasem Melanchton widzi w filozofii Stagiryty zbawienie (carere monumentis Aristotelis non posimus „unus ac solus methodi artifex“ itp.). Ale tej teologii dosyć.

Pozostaje ostatni punkt sporny, może najważniejszy, bo dotyczy metody. Ponieważ wyraziłem żal, że kolega Mat. nie dał swemu dziełu oprawy należycie filozoficznej, choćby za cenę pominięcia okazów dyabła podrzędnych „niewyrazistych, mieszańców“ *), spotyka mię wyrzut, iż żądam nierachowania się z faktami. (Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie?). Albo: „mnie szło o dokładność, o prawdę, nie zaś o quasi-filozoficzne fajerwerki.“ Jakże z tem pogodzić to, co następuje później: „swoją drogą Taine pozostanie jednym z najznakomitszych estetyków i filozofów, a jego arcydzieła niedoścignionym wzorem dla krytyków“? A więc na fajerwerku można zajechać aż na sam szczyt Parnasu? Tu coś jest „nie w porządku.“ Kol. Mat. mam przyjemność czytywać stale i wiem, że on tak bardzo filozofią w krytyce nie gardzi, jestem nawet przekonany, że pojmuje doskonale całą potęgę *syntezy*, bo ona dodaje pisarzom polotu, pewności, siły, ona jest w swoim rodzaju wiarą artystyczną, literackim talizmanem.

Kol. Matuszewski słusznie mówi, że moja krytyka „była i życzliwa i pochlebna,“ bo ja w rzeczy samej cenię w jego *Djable* nietylko popis erudycyi, który tak olśniewa innych, ale i *dobór* materyału, porządek, równość i powab tematu, i bardzo piękne usiłowania uwieńczenia ich syntezą, której się teraz tak zarzeka, jak... djabeł święconej wody. Toż bez tej myśli przewodniej, bez *ewolucyi*, cenna jego książka zeszłaby na kompilacyę, wiemy bowiem doskonale, że literatura dyabła, choć nie w „poezyi,“ jest bogata. Niech więc kol. Matuszewski dobrowolnie nie wyrzuca z swej pracy tego, co jest jej zasługą i tytułem do pochwały. Znamy obadwaj Pompeyo Genera: *La mort et le diable* *), o którem niegdyś pisałem szeroko w *Prawdzie*, widzę z książki p. M., że jesteśmy obadwaj trochę pod jego wpływem. Dlaczegóżbym więc nie miał i od *Djabła w poezyi* żądać jakiegoś prawa powszechnego, skoro wielke zachodzi prawdopodobieństwo, że ono istnieje. Do kol. Matuszewskiego pysznie stosują się słowa Horacego: *Video meliora proboque — deteriora sequor*, widzi i chwali lepsze, a naśladować chce gorsze. Ja przynajmniej tej niekonsekwencyi się strzegę i staram się pamiętać, com winien Heglowi, Herderowi, Buckle'owi, Marksowi, Comteowi (trzy stany) i wszystkim wielkim twórcom syntez dziejowych, nie wyłączając Darwina. Wobec tej konstelacyi szan. kolega całkiem niepotrzebnie pomawia mię o niewolniczy Taine'izm. Ja trzy i dwa lata temu na tych szpaltach wytykałem błąd Taine'a w stosunku do Shelleya, a dziś kol. Matuszewski kłuje mię moim własnym argumentem i radzi pamiętać o błędach mistrzów?..

Jest to, zdaje mi się, maleńka psota djablika polemicznego, którejbym nie brał za złe Belzebubowi — Matuszewskiemu przy blizkim naszym stosunku, gdyby ona nie kusiła do naśladowania—ludzi bez własnego sądu. O Tainie mówią u nas wszyscy przy lada sposobności, ale mało kto zna go fachowo. Po co mamy krzywdzić zasadę *suum cuique* dla dobra Taine'a, do którego stoję w stosunku całkiem innym— w stosunku, którego przecież bezstronnie ocenić nie pokwapi się nikt po za znawcami zawodowymi przedmiotu. Jeśli my będziemy się krzywdzić, to kto, na Lucyfera, odda nam sprawiedliwość?

Cezary Jelenta.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przykro mi niezmiernie, że zajmuję cenne łamy *Prawdy* sprawą osobistą, ale z listu p. Paprockiego (n. 48) nieświadomy rzeczy mógłby wnieść, że ja czepiam się ludzi Bogu ducha winnych; dla tego upraszam o łaskawe zamieszczenie następnych słów paru.

Nie uważam za potrzebne spierać się o to z p. Paprockim, że akt sprawiedliwości i prawdy jest rzeczą „nieodpowiednią dla młodzieży“ lub „balastem“; chcę tylko przyjść w pomoc pamięci p. Paprockiego, która w danym razie okazała się niezupełnie ścisłą.

1. „Cały szereg polemik“ ograniczał się do paru wzmianek i wskazówek, w których pismach na dane krytyki można znaleźć moje odpowiedzi; chciałem tym sposobem uchronić czytelnika od *błędnego* poprawienia mej książki według *błędnych* informacyi krytyków.

2. Nie podpisywałem i nigdy nie podpisałbym kontraktu, w którym rozstrzygnięcie, co jest w mej książce „potrzebne“ a co jest „balastem“ byłoby pozostawione dowolnemu „postanowieniu“ p. Paprockiego.

3. P. Paprocki trzymał mój artykuł przez kilka miesięcy, „postanowienie“ swe objawił mi dopiero przy końcu druku a na rozwiązanie kontraktu pozostawił mi tylko 3 dni! (na co mam listowny dowód). Zatem „o zwłoce może być mowa“ (i powinna). To właśnie uważam p. Paprockiemu za bardzo roztropne i wyrażonego poprzednio zarzutu w niczem nie cofam.

Racz przyjąć Szanowny Panie Redaktorze wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Wacław Nałkowski.

Na tem spór zamykamy. *Red.*

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum zażądało od kantorów Banku państwa sprawozdania o stanie moralnym wszystkich urzędników. Szczegóły tego rodzaju mają być nadal corok nadsyłane przed 1-ym stycznia.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa spożywczego urzędników rządowych i innyah w Opocznie (gub. radomska).

---

*) Sam autor z konieczności pewnie nie wspomina wcale o „Merlinie“ Gottschalla, szatanie Shelleya i wielu innych.

*) W dziele tem jedno prawo powszechne rozwoju djabła i śmierci, w wierzeniach — ujmuje w ramy bogaty i nader ponętny materyał.

— W dyrekcyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie, wszyscy młodzi urzędnicy awansowali; aplikanci otrzymali pensye.

— Od r. 1894 stosowanie wagi dziesiętnej zamiast norymberskiej stanie się obowiązkowem dla lekarzy i farmaceutów w całem państwie.

— Komisya, opracowująca ustawę normalną dla towarzystw dobroczynności, obejmie także instytucye żydowskie, pozbawione ustaw i wszelkiej kontroli. Te, których nie mają chrześcianie, np. bractwa pogrzebowe, będą zniesione.

— W *Praw. wiest.* ogłoszono całkowitą instrukcyę poboru i oznaczenia podatku od mieszkań.

Szkoły. Ministeryum oświaty za pomocą okólnika zaleca, iżby przy wszystkich szkołach ludowych obowiązkowo wprowadzono naukę ogrodnictwa, warzywnictwa i pszczelarstwa.

— Muzeum pszczelnicze w Warszawie prosi ministeryum dóbr państwa o prawo otwarcia praktycznych kursów pszczelnictwa, sycenia miodu, wyrobu ulów i t. d.

— Skutkiem nieporozumień, wynikłych między dyrekcyą a uczniami szkoły rolniczej w Czernichowie pod Krakowem, wykłady zawieszono.

— Zalecono, aby na instrumentach dętych w orkiestrach uczniowskich grywali ci tylko, których zdrowie pozwala na to.

Zdrowie publiczne. Dane departamentu lekarskiego wykazują, że cholera w r. b. ustępuje przeszłorocznej, zarówno pod względem liczby chorych, jak i siły śmiertelności.

— Sprawozdanie z 3 grudnia notuje tylko jedną osobę, chorą na cholerę w szpitalach warszawskich.

— Na Węgrzech epidemia znika; w Konstantynopolu panuje dość jeszcze silna.

Wypadki. Na stacyi kol. Nadwiślańskiej Konopki zetknęły się pociągi, towarowy z osobowym. Z ludźmi wypadków nie było. Straty znaczne.

— Na dworcu pod Limita we Włoszech spotkały się pociągi. Pośpieszny wyskoczył z szyn, wagony zapaliły się. Czterdzieści osób zginęło; ranionych liczą do setki. Powodem katastrofy podobno była mgła.

Zmarli. John Tyndal, fizyk znakomity, w Londynie. Urodzony 21 sierp. 1820 r. w stolicy Anglii, od r. 1853 był profesorem fizyki w „Royal Institution." Najznakomitsze dzieła jego: „Lodowce alpejskie," „Ciepło," „Głos," „Woda," „Badanie ciał molekularnych," „Światło."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Ноября 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.